

KAMILA GOSZCZYŃSKA

KWIAT DATURY

TOM III

POŻOGA



KAMILA GOSZCZYŃSKA

KWIAT DATURY



TOM 3



POŻOGA

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Natalia Kocot – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Bartosz Letkiewicz
Projekt mapy: Karolina Pietrzykowska
Druk: Totem.com.pl

Copyright © Kamila Goszczyńska, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-962436-9-0

Profile autorskie w sieci:

Facebook: Kamila Goszczyńska - pisarka

Instagram: @kamilagoszczynskapisarka

*Dziękuję wszystkim, którzy mnie wspierali
podczas tworzenia tej trylogii.
Werelda to także Wasza kraina.
Niech prowadzi Was przez nią przeznaczenie.*

WERELDA



Wrogowie i przyjaciele

Im wyżej byli, tym wolniej szli. Z początku łagodne zbocze stało się skaliste. Kamienie pod stopami utrudniały wędrówkę. Amber zauważyła jednak, że dla krasnoludów skały nie stanowiły problemu. Dysponowały butami o twardych podeszwach, ale dodatkowo stąpały tylko po niektórych kamieniach, jakby doskonale znały każdy z nich. Postanowiła obserwować kroczącego przed nią młodego krasnoluda i zaczęła stawiać nogi dokładnie na tych samych odłamkach co on. Wkrótce marsz wydał się łatwiejszy. W duchu jednak ganiła siebie i Orfena za to, że dali się zaskoczyć bandzie dwunastu krasnoludów. Oto byli prowadzeni do królowej Bzery. Cieszyła się jedynie z tego, że ich od razu nie ukatrupili, bo tego należałoby się spodziewać po tych istotach. Uważała, że nawet jeśli przeżyją wizytę u krasnoludów, to i tak zmarnują mnóstwo cennego czasu. Potem jednak przyszło jej do głowy, że jeżeli z jakichś przyczyn królowa uzna ich za winnych śmierci Borbena, przyjdzie im zginąć. Wszystko to niepokoiło ją bardzo i raz po raz spoglądała na idącego obok niej Orfena. Minę miał bliżej nieokreśloną. Nie potrafiła wyczytać z niej, czy mężczyzna boi się, czy raczej obmyśla drogę ucieczki. A może po prostu postanowił pozwolić

wydarzeniom toczyć się swoim biegiem? Tylko że Amber nie miała co do nich pozytywnych oczekiwań...

Słońce wzniosło się wysoko nad horyzont, gdy dwa krasnoludy na przodzie, dowódca oraz wysoki jegomość o czarnej brodzie, gwałtownie się zatrzymały. Ten pierwszy stanął naprzeciw ogromnej skały i przyłożył dłoń do niewielkiego zagłębienia porośniętego mchem. Kamień samoistnie się odsunął, ukazując ciemne wejście do wnętrza, jak zgadła elfka, królestwa Bzery. Mrok, który pochłoniął ich od razu, wydał się jej skrajnie nieprzyjemny. Kątem oka pochwyciła jedynie lekki, pokrzepiający uśmiech Orfena, kiedy odwrócił do niej głowę.

Weszli na długie schody prowadzące w dół. Z sarkazmem pomyślała, że tylko krasnoludy mogły wymyślić najpierw mozolną drogę pod górę, by następnie odbyć równie męczący spacer w dół. Nie podzieliła się jednak tą uwagą z nikim. Kiedy głaz zasunął się za nimi z łoskotem, poczuła się nieswojo. Elfy kochały przestrzeń, wiatr i szumiące drzewa, a nie zamknięte, ciasne pomieszczenia. Ciężkie buty krasnoludów dudniły na kolejnych stopniach. Minęli kilka grup strażników stacjonujących na platformach przytwierdzonych do schodów, za którymi ciągnęły się słabo oświetlone korytarze. Wszyscy mieli obojętne miny, jakby pobratymcy nie pierwszy raz prowadzili więźniów tą drogą. Amber się rozglądała, ale w słabym świetle pochodni widziała niewiele poza połyskującymi ścianami. Kiedy jej wzrok wreszcie przyzwyczał się do ciemności, zauważyła na niektórych skałach przedziwne rysunki i napisy w krasnoludzkim języku. Słabo się na nim znała, choć ojciec uczył ją kiedyś podstaw. Z zestawu powtarzających się znaków odgadła, że były to peany na cześć bóstw oraz wskazówki dotyczące wydobywania kamieni.

W pewnym momencie cztery krasnoludy niosące ciało Borbena skierowały się w prawo. Oddaliły się od grupy oświetlonym

tunelem, rzucając jakieś krasnoludzkie pozdrowienie komuś, kogo Amber nie potrafiła dostrzec. Wtedy dowódca odwrócił się i warknął:

– Teraz czas na prawdziwe przesłuchanie. Idziemy z nimi do lewego skrzydła!

Żołnierze posłusznie poprowadzili więźniów kolejnym korytarzem, znów nieco w dół.

Skręcili gwałtownie i przeszli wąską kładką na drugą stronę. Amber starała się nie patrzeć pod nogi, gdyż w prześwitach między deskami rysowała się czarna otchłań. U wylotu szerokiego tunelu stały dwa siwe, łudząco podobne do siebie krasnoludy.

– Pozdrawiam cię, czcigodny Frerze! – zawołał jeden z nich w kierunku dowódcy.

– Pozdrawiam was, Gyr'tunie i Ser'tunie – odparł Frer.

– Z czym dziś przybywasz? – zapytał Gyr'tun.

– Mam więźniów, których trzeba postawić przed obliczem uświęconej królowej Bzery. – To mówiąc, wskazała na Amber i Orfena.

Gyr'tun przyjrzał się wnikliwie przybyłym, po czym się odsunął, uderzając o ziemię drzewcem swego szpontonu.

– Musicie zaczekać – dodał Ser'tun. – Królowa zażywa kąpieli solankowych.

– Znowu? – zdziwił się Frer.

Amber dostrzegła na twarzy dowódcy jednak bardziej zaniepokojenie niż pogardę dla królewskich wygód.

– Niestety – odparł strażnik.

– Za mną! – zawołał Frer i podążyli posłusznie za nim.

Przemierzali chwilę następne korytarze, przechodząc przez dwie sale pełne krasnoludów. Niektóre stały przy ogromnych kądziach i przelewały żółtą, podobną do piwa ciecz do dzbanów, inne segregowały różne towary. W trzech koszach leżały nieobrobione,

jasne skały wyglądające z daleka na granit. Obok nich znajdowały się kosze z chlebem i jabłkami. Nieopodal krzątało się kilka krasnoludów przekładających jakieś ogromnych rozmiarów płachty tkanin. Z boku, przy rozładunku zalatującego już nieświeżością mięsa, pracowały dwa krasnoludy i cztery... elfy, wszystkie z nogami skutymi łańcuchami. Amber przeraził ten widok. Czyżby elfy w królestwie Bzery były niewolnikami? Nie podniosły nawet oczu na przybyłych. Amber zauważyła, że miały poranione dłonie, z czego wywnioskowała, że pracowały ciężko nie tylko przy rozładunku mięsa. Nie istniała chyba większa hańba dla elfa niż bycie na usługach krasnoludów. Mogłaby się założyć, że nocami szukały sposobności, by popełnić samobójstwo i w ten sposób uwolnić się od swego losu. Przełknęła głośno ślinę i w tym samym momencie dostrzegła uśmiech na twarzy dowódcy. Zerknęła na Orfena. Także zauważył elfy i zamrugał nerwowo. *W najlepszym razie zostanie niewolnicą* – pomyślała szybko, lecz myśl ta wcale nie przyniosła jej ukojenia.

Wkrótce dotarli do niewielkiej sali, w której zdawało się jaśniej niż w korytarzu. Na granitowej posadzce zarysowały się ich długie cienie.

– Miecz – rozkazał krótko Frer i rudy krasnolud oddał mu oręż Amber.

Dowódca obejrzał go i spojrzał na elfkę z niejasnym grymasem. Zmarszczył brwi i postąpił naprzód. Chciał zerwać jej z szyi amulet, ale się zawahał. Opuścił rękę i dał znać, by iść dalej. Korytarz był przestronny i oświetlony. Iskrząca się skała stanowiła niezwykle ozdobę wnętrza. Poza nią nie znajdowały się tu jednak żadne ornamenty. Wreszcie doszli do rozwidlenia i bez zatrzymywania się skręcili w prawo. Podążyli kolejnym tunelem. Amber domyślała się, że każdy z nich wygląda tak samo i można by się

w nich łatwo zagubić, co utrudniało planowanie ucieczki. Wreszcie stanęli przed mosiężnymi drzwiami pilnowanymi przez dwie pary strażników. Każdy z nich miał na sobie zieloną szatę i dzierżył berdysz. Była wśród nich jedna krasnoludka o surowych rysach twarzy, wielkim nosie i – co Amber od razu zauważyła – głębokich zielonych oczach.

– Królowa jest zmęczona – oznajmiła krótko krasnoludka. – Załatwcie sprawy szybko.

– W rzeczy samej, Jer'zo – odparł Frer.

Krasnoludka odwróciła się i uderzyła głośno trzy razy w drzwi. Otworzyły się z hałasem na oścież. Sala, do której weszli, była szeroka, ale niezbyt długa. Stało tam pośrodku zdobione szmaragdami krzesło, w którym elfka rozpoznała tron. Obok ustawiono kilka kamiennych zydełków, a za nimi Amber dostrzegła następny, tym razem wąski, korytarz. Po prawej stał stół, a na nim – bogato zdobione szmaragdami i rubinami kielichy oraz ogromna złota czara pełna czerwonego wina. Jeśli była to komnata tronowa, oprócz mebli i naczyń nie świadczyła o wykwintności.

Wtem Amber usłyszała kroki. Wkrótce w korytarzu pojawiły się najpierw dwa krasnoludy w podeszłym wieku, oba ubrane na brązowo, z zielono-złotymi klamrami na brodach i pasach, a za nimi dwie krasnoludki o bujnych kształtach i ciemnych włosach upiętych niedbale z tyłu. Za nimi podążały kolejne dwa krasnoludy, młodsze niż te pierwsze, ale ubrane także na brązowo. Następnie kroczyła odziana na zielono nieduża, lekko przygarbiona krasnoludka kobieta, która cicho rozprawiła z kimś w swoim języku. W końcu podniosła głos, mówiąc: „Starczy!”, i tym samym skończyła dyskusję z idącą za nią elfką. Ta jednak nie była zakuta w kajdany i poruszała się swobodnie. Amber zobaczyła ją od razu, gdyż górowała wzrostem nawet ponad krasnoludzkimi wojownikami.

Ostąpiła. Co w świecie królowej Bzery robiła elfka? Tamta nie spojrzała na nią, ale Amber zdążyła jej się przyjrzeć. Miała lekko kręcone, spływające na ramiona kasztanowe włosy i nad wyraz skromną, odcinaną w pasie ciemnoszarą suknię. Przy pasie widniał nieduży szmaragd oprawiony w srebro. Cały ten korowód zamykały trzy dobrze zbudowane, młode krasnoludy w zwykłych strojach barwy popielatej. Wszyscy zajęli swoje miejsca dookoła królowej, przy czym elfka stanęła zupełnie z boku i dopiero teraz z zaciekawieniem spojrzała na Amber. Gdy spotkały się wzrokiem, szybko odwróciła głowę.

Królowa wyszła na środek i wtedy Amber mogła jej się lepiej przypatrzeć. Nie była młoda, ale zapewne wśród krasnoludów uważano ją za urodziwą. Miała szeroko rozstawione kości policzkowe, liczne zmarszczki oraz intensywnie zielone oczy otoczone długimi, ciemnymi rzęsami. Czarne włosy przyprószone gdzieś siwizną opadały lokami na barczyste ramiona. Czoło okalał złoty diadem ozdobiony szmaragdami zeszlifowanymi na kształt rombów. Pośrodku zaś widniał złoty wizerunek nietoperza z rozpostartymi skrzydłami. Królowa nosiła skórzane buty zakończone w szpic, a jej suknia z bliska okazała się przetykana złotą nicią.

Omiotła wzrokiem przybyłych, po czym zatrzymała się na Frerze.

– No? – rzuciła niecierpliwie w jego kierunku.

– Przyprowaździłem ci, o uświęcona królowo... – Tu Frer pochylił głowę. – ...podejrzanych o zabójstwo Helleborusa.

– Tak, słyssałam, że nie żyje. Uroczystości pogrzebowe odbędą się jutro. Mugred wszystkim się zajmie.

Na dźwięk swojego imienia jeden z wiekowych krasnoludów kiwnął głowę.

– No i co z nimi? – kontynuowała władczyni.

– Znaleźliśmy ich przed domem pustelnika. Spali w najlepsze, szczyjąc się łupami.

– Łupami? – Królowa uniosła brwi ze zdziwienia.

– Zabrali Helleborusowi amulet i ten oto miecz.

Frer przykląkł na jedno kolano i wyciągnął przed siebie pochwę z bronią Amber.

– Z całym szacunkiem, królowo – odezwała się właścicielka miecza, ale Bzera uniosła dłoń, nakazując milczenie.

Sama zaś wysunęła miecz i przyjrzała się rękojeści.

– Kto miał go przy sobie? – spytała dowódcę.

– Ona. – Frer wskazał Amber.

– Elfka... – powiedziała w zamyśleniu, przenosząc na nią wzrok. – Amulet też wisi na twojej szyi.

– Pani – odezwała się Amber – miecz należy do mnie, a amulet dostałam w prezencie od pustelnika.

– Doprawdy? – Władczyni zmrużyła oczy. – I akurat teraz zmarł? Hm... Kim jesteście?

– Nazywam się Ireth z Leathien, a to Orfen. Podróżujemy razem, odkąd uciekliśmy z Ivardu – wyjaśniła Amber. – Nie mieliśmy i nie mamy złych intencji.

– A jednak zło przybyło za wami. Cóż, elfko z Leathien. Daleką drogę przesłaś, ale dlaczego mam ci uwierzyć, że właśnie tobie Helleborus powierzył cenny amulet? Po co miałby to robić?

Amber chciała coś odpowiedzieć, lecz Bzera zerknęła na Orfena i rzuciła do Frera:

– Co to za rękawica na jego ręce?

Elfka zamarła i spojrzała na mężczyznę z niepokojem.

– Dawne poparzenie – odparł.

Tymczasem Bzera machnęła na krasnoluda stojącego obok Orfena. Ten podszedł i jednym ruchem rozciął skórzaną rękawicę.

Chwycił go za ramię i ukazał znak datury. Po sali rozeszły się pomruki. Władczyni pokiwała głową.

– Uciekliście z Ivardu, co? – dopytała z krzywym uśmiechem. – Zdrajcy i szpiedzy. Bo to mała was się szwenda po Górach Wąsatych? Rozłazicie się jak wszy po głowie i kąsacie, gdzie możecie. Ale tu nie możecie! Póki żyję, nie pozwolę! Będę was tępić po ostatnią kroplę krwi w moim ciele.

Nagle się rozkaszała. Podbiegli do niej starszy krasnolud i elfka.

– Już dobrze – jęknęła. – Na miejsca! Jeszcze wam tu dziś nie odegram ostatniego aktu. Co do tych tutaj, ciekawi mnie twój miecz, Ireth z Leathien, bo z całą pewnością nie odebrałaś go Helleborusowi. Jeszcze z tobą porozmawiam. Zamknąć ją w lochu. A ivardzkie ścierwo zabić. Wykonać!

Serce Amber zamarło. Dwa krasnoludy chwyciły Orfena pod pachy, inne dwa złapały elfkę. Bzera odwróciła się i powolnym krokiem ruszyła w stronę zdobionego krzesła.

– Nie, królowo, błagam! – krzyknęła Amber. – Nie możesz go zabić!

Szarpała się, ale nie robiła wrażenia na władczyni. Poczwała gorąco. Zebrała w sobie całą siłę i odepchnęła jednego krasnoluda, a drugiego powaliła na ziemię. W jednej chwili dopadła do królowej i zanim podbiegli do niej inni, zdążyła przed nią uklęknąć.

– Królowo Bzero, proszę – zaczęła. – Ten mężczyzna to mój przyjaciel. Nie możesz go zgładzić. Jesienią zostałam pojmana przez królową Nefri i to on, narażając swe życie, pomógł mi w ucieczce. Nosi znak datury, ale nie jest już Ivardczykiem.

– Co to za brednie? – zapytała władczyni, przenosząc wzrok na Orfena.

– To prawda, urodziłem się w Lafrencji, a służbę w Ivardzie rzuciłem dawno temu.

– Jego los związany jest z moim losem – dodała Amber. – Nie każ go zabijać. – Zawahała się, po czym dodała słabszym głosem: – Będę ci wiernie służyć tak jak te elfy w łańcuchach, ale daruj mu życie.

– Ofiarujesz mi swoje życie na służbę u mnie, królowej krasnoludów?

– Amber, nie rób tego, proszę. Nie jestem aż tyle wart – odezwał się Orfen.

Królowa gwałtownie na niego spojrzała.

– Jak ją nazwałeś?

– Amber, pani – odpowiedziała szybko elfka. – Pod tym imieniem znają mnie w Wereldzie.

– Amber... – powtórzyła Bzera. – Amber. Córka Ithiela z Leathien.

– Tak, Ithiel to mój ojciec. – Elfka podniosła na nią oczy.

– Znam twojego ojca – powiedziała władczyni powoli i westchnęła. – Twoje imię także tu, do nas, dotarło. Podnieś się, elfko. Jednak pójdiesz ze mną.

Ten nagły zwrot akcji zaskoczył wszystkich obecnych. Elfka stojąca z boku przypatrywała się Amber z zaciekawieniem, krasnoludy miały albo przerażone, albo zdezorientowane miny, a taką miał na pewno Orfen.

– Królowo – odezwał się Mugred. – To wielce nieroztropne.

– Milcz, starcze – rzuciła zniecierpliwiona monarchini. – W tym królestwie to ja jeszcze podejmuję decyzje. Zabierzcie tego człowieka do lochu i dajcie mu jeść. – Wskazała palcem na mężczyznę. – Na razie ma mu włos z głowy nie spaść. Będzie jeszcze czas na wyroki. Nowa elfka idzie ze mną.

Amber obejrzała się na Orfena i odetchnęła z ulgą. Przynajmniej na jakiś czas był ocalony. Podniosła się z klęczek i spojrzała Bzerze w oczy.

– Jak ojciec. Wierny swoim ideałom – powiedziała z uśmiechem królowa. – Leffesie – zwróciła się do rudego krasnoluda, który szykował się do prowadzenia Amber. – Rozwiąż ją i się oddal. Na razie nie będziesz mi potrzebny.

– Pani... – odezwał się Leffes – to bardzo niebezpieczne...

Bzera postąpiła dwa kroki naprzód i bez zbędnych ostrzeżeń zerwała krasnoludowi jeden z kamieni przy pasie. Rozległ się brzdęk klejnotu uderzającego o posadzkę, po czym zapadła cisza.

– Rozwiązesz ją, a potem wracasz do kopalni, na razie na dwa miesiące, potem rozważę przywrócenie cię na stanowisko. Czy ktoś jeszcze w tym królestwie chce podważać dziś moje rozkazy?

Ostatnie słowa powiedziała głośno i dobitnie. Nikt się nie odezwał. Poczekała, aż Leffes rozwiąże Amber, a następnie powolnym krokiem skierowała się ku wąskiemu tunelowi. Tuż obok swego tronu się zachwiała. Podbiegły do niej dwa krasnoludy i elfka w ciemnoszarej sukni.

– Chcę ją – rzuciła Bzera do krasnoludów, podając rękę elfce, która w milczeniu pozwoliła królowej wesprzeć się na swoim ramieniu. – Cholerny świat – zamruczała tak cicho, że zapewne słyszały to tylko dwie elfki.

Wszyscy ruszyli niespiesznie w głąb dobrze oświetlonego, wąskiego korytarza. Minęli kilka odgałęzień będących zapewne prywatnymi komnatami świty królewskiej, po czym skręcili raptownie w prawo.

– Pójdziemy do Komnaty Szmaragdowej – rozkazała Bzera. – Tylko Dirhea i strażnicy.

Część świty – starsze krasnoludy ubrane na brązowo oraz damy dworu – stanęła, gdy mosiężne drzwi się otworzyły i ukazały platformę. Trzech roślących strażników, Dirhea, Amber i królowa weszli na drewniany podest. Wszyscy przypięli się pasami przymocowanymi

do belek, więc Amber uczyniła to samo. Wtedy dołączył do nich barczysty, pachnący gorzelnią krasnolud i przycupnął na krawędzi.

– Uwaga! – ryknął, zwalnając jakąś nieuchwytną dla oka laika blokadę.

Ciężki podest runął wiele metrów w dół z taką prędkością, że Amber zakreśliło się w głowie. Choć przyszło jej na myśl, że niechybnie się rozbija, platforma w zadziwiający sposób wyhamowała i zatrzymała się przy skalistej krawędzi. Amber, wzorując się na reszcie, odpięła pas i z trudem odzyskała pion po tej krótkiej, acz intensywnej przejażdżce.

Postąpili parę kroków i wtedy ich oczom ukazał się niezwykle widok. Zapewne cała świta królowej była już przyzwyczajona do takich tworów, ale Amber z trudem powstrzymała się, by nie otworzyć ust z zachwytu. Weszli do komnaty, której wszystkie ściany i podłogę pokrywały szmaragdy. W świetle pochodni iskrzyły się od soczystej zieleni po ciemną, prawie czarną barwę. Gdzieniegdzie, w miejscach załamania światła, wydawało się, że kamienie płonęły białym ogniem. Wszystko dookoła mieniło się i iskrzyło jak w bajkowym świecie. Szmaragdy w dotyku były chłodne i gładkie, choć w zagłębieniach zmieniały się w porowate. Pośrodku sali przygotowano siedziska oraz szezlong wyściełany skórą zwierzęcia o czarnej sierści w białe cętki.

– Co to za miejsce? – spytała zachwycona Amber.

– Szmaragdowa Komnata – odparła królowa. – Usiądź. – Wskazała miejsce przy wielkim pionowym kryształce.

Sama spoczęła na szezlongu, a tuż obok niej przysiadła Dirhea. Strażnicy stanęli w połowie drogi między monarchinią a przybyłą elfką.

– Tu będziemy mogły swobodnie porozmawiać – powiedziała władczyni.

– Dziękuję ci, pani, że darowałaś mu życie – odezwała się Amber.

– Tak, to jeszcze nie jest pewne, ale chętnie posłucham, co masz do powiedzenia.

– Pani, nie jestem pewna, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć.

Nie jesteśmy winni śmierci Helleborusa.

– Rozumiem. Po co więc do niego przybyliście?

– Chcieliśmy z nim pomówić.

– O czym?

– Tego zdradzić nie mogę.

Bzera popatrzyła na rozmówczynię przenikliwie.

– Nie możesz? – powtórzyła. – A gdybym jednak kazała zabić tego całego Orfena?

Amber spojrzała królowej prosto w oczy i odrzekła chłodno:

– Nie każ mi wybierać. To nie są sprawy, którymi można się bawić.

– No dobrze – powiedziała po chwili pauzy krasnoludka. – Założmy, że mówisz prawdę. Dlaczego pojmano cię w Ivardzie?

– Nie doczekałam się odpowiedzi na to pytanie.

Bzera uśmiechnęła się lekko, po czym zakaszła i przemówiła ciszej:

– Mogłabym cię wypuścić, ale jaką mam gwarancję, że nie pracujesz razem z tym mężczyzną dla Ivardu?

– Nie masz. Musisz mi zaufać. A wiesz, królowo, że powinnaś.

Obie spojrzały sobie w oczy. Milczały dłuższą chwilę. W końcu Bzera zwróciła się do strażników:

– Nie będziecie mi już potrzebni. Możecie odejść. Czekać u wejścia.

Młode krasnoludy spojrzały po sobie, ale odmeldowały się i wyszły.

– No, nareszcie – westchnęła monarchini i złożyła głowę na oparciu szeszlangu. – Porozmawiajmy otwarcie. Daleko jesteśmy

od świata boju i lęku. Żyjąc tu, czasem zapominamy, że istnieje coś więcej niż te wspaniałe skały. A jednak bogowie sprawili, że trafiłaś na mój dwór. Co mam z tobą zrobić?

– Pozwól mi odejść.

– Tak bez odpowiedzi? Helleborus tyle lat na kogoś czekał. To byłaś ty?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Amber grała na zwłokę niepewna, ile królowa wie.

– Daj spokój, Ireth. Czy może wolisz: Amber? Obie wiemy, że Helleborus to nie jego prawdziwe imię. Jako mag dokonał wielkiej rzeczy i strzegł nas wiele lat przed siłami zła. Uprzedzał, gdy coś go niepokoiło, a wtedy stawaliśmy się czujniejsi. Od spotkania z Zu'kaanem osiedlił się na obrzeżu naszego terytorium.

– Frer mówił, że był jak jeden z was.

– Zaiste, tak było. Uwolnił nas od strasznej i mrocznej siły grożącej nam we własnym domostwie. To było za panowania mojego ojca Strebora. Nie pamiętam wiele, ale często wracał do tego myślami. Zgładzenie maga nie udałooby się, gdyby ojciec nie wpuścił Borbena w podwoje królestwa. Gdyby nie zabił Zu'kaana, mag osiągnąłby swój cel i zawładnął prawem Ther Quildif.

– Był aż tak blisko? – zdziwiła się Amber.

– Prawie mu się udało.

– Pani, czy myślisz, że komuś naprawdę może się udać zawładnięcie ciemną magią? Że ktoś mógłby z sukcesem kontynuować jego dzieło?

– Myślę... – Zawiesiła głos. – Myślę, że to nieuniknione i że już się dzieje.

– Jak to?

Królowa westchnęła i spojrzała ze smutkiem na Dirheę.

– Powiedz jej.

Elfka uniosła wzrok na Amber i oznajmiła:

– Zanim tu przybyłam, w Górach Wąsatych mieszkali setki rorogów. Od paru miesięcy masowo odlatują.

– Na północ? – spytała drżącym głosem Amber.

Elfka kiwnęła głową.

– Na bogów! Jeśli Yefowi rzeczywiście się to uda, rozpęta się straszna wojna, jakiej Werelda jeszcze nie widziała. Nikt nie będzie bezpieczny.

– Ale ty nosisz miecz *mesthi*. Prośby twego ojca zostały wysłuchane – powiedziała władczyni, z trudem biorąc oddech.

Amber wybałuszyła oczy ze zdumienia, więc Bzera wyjaśniła:

– Zawsze chciał ratować wszystkie istnienia. Elfy, ludzi, krasnoludy. Teraz ma kogoś, z kim może tego dokonać.

– Dawno nie widziałam swojego ojca – odparła smutno elfka. – Wyjechałam jesienią... – Lekko się uśmiechnęła. – ...by ratować rusałkę.

– Uratowałaś?

– Nie sądzę...

– Dirheo – zwróciła się do swej towarzyszki królowa. – Podaj mi lekarstwo.

Ciemnowłosa elfka posłusznie wyjęła zza pasa flakonik i podała Bzerze. Królowa przyłożyła go sobie do ust i wzięła jeden łyk, po czym oddała buteleczkę służce. Przez chwilę ciężko oddychała, trzymając się za brzuch.

– Cóż, Ireth z Leathien – odezwała się w końcu ponownie. – Zapewne zadziwiała cię widok elfki u boku krasnoludki.

Amber nie śmiała przyznać, że ostatnio niewiele rzeczy jest w stanie ją zaskoczyć. Może poza jedną.

– Bardziej mnie zaskakuje widok elfów w kajdanach.

– Hm – mruknęła Bzera. – A to już jest zupełnie inna historia. Wracając jednak do twojej... Skoro Borben zmarł po spotkaniu z tobą i skoro nosisz na szyi amulet z Lupios, oznacza to, że na ciebie czekał całe życie. Dlatego uznam cię jutro za niewinną śmierci Helleborusa, choć właściwie to nieprawda. Gdybyś tu bowiem nie przybyła, nasz pustelnik by żył. Ale mocno wierzył swoim bogom, niechaj więc będzie podług ich woli. Czy zechcesz wziąć udział w uroczystości pogrzebowej?

– Owszem – odparła niepewnie.

– Dobrze. To umocni krasnoludy w przekonaniu o twym czystym sumieniu.

– A Orfen?

– Hm, powiedz mi, Ireth z Leathien: dlaczego tak bardzo ci na nim zależy, skoro jest Ivardczykiem? Ma tatuaż Iv, mówi jak ivardzki żołnierz. Gdzie tkwi tajemnica? Dlaczego Amber, której sława i wieści o wielkich czynach ją wyprzedzają, tak bardzo dba o zwykłego Ivardczyka?

– Nie jest zwykłym człowiekiem. Uratował mi życie i podarował miłość.

– Miłość? – Władczyni pokiwała głową. – Niektórzy pośród nas powiadają, że to obłąd, choroba głowy, nic więcej.

– Ja wierzę, że to coś więcej.

– Jesteś córką swego ojca. Z całą pewnością. Nie skrzywdzę twojego Ivardczyka, ale musi pozostać w lochu, dopóki tu przebywacie. Chcę, byś została tu tydzień, aż zakończy się żałoba po Helleborusie. Potem nie będę już igrać z twoim przeznaczeniem. Kto wie, może splecie się ono z moim.

– Dziękuję, pani.

– Dirheo, zostaną tu jeszcze trochę. Zaprowadź Ireth do komnaty, tej z kryształami lepidolitu. Może się zakocha w naszym świecie.

– To jest nasz wspólny świat, królowo – odparła Amber.

– Może tak, może nie.

Dirhea podniosła się i dygnęła przed Bzerą, po czym, nie patrząc na Amber, skierowała się ku drzwiom. Po drugiej stronie stali trzej strażnicy. Dirhea powiedziała coś do nich w języku krasnoludzkim, po czym zwinnie weszła na platformę. Amber ledwo zdążyła powtórzyć ten manewr, gdy drewniany podest ruszył gwałtownie w górę. Zatrzymał się jednak na innym poziomie niż ten, z którego wyruszyli. Dirhea zeszła z platformy, otrzepała szarą suknię z niewidzialnego pyłu, a następnie wzięła od strażnika stojącego u wejścia do tunelu pochodnię i ruszyła przed siebie. Amber zastanawiała się, dlaczego elfka nic do niej nie mówi. Czy był to objaw antypatii, czy może chciała jak najszybciej wrócić do królowej? Szła niemal bezszelestnie po kamiennej posadzce.

W końcu znalazły się przy drewnianych drzwiach. Dirhea otworzyła je i umieściła pochodnię w metalowym uchwycie w ścianie.

– Ktoś przyniesie ci potem strawę. U drzwi będzie stał strażnik. Dla bezpieczeństwa – poinformowała.

– *Le thew* – powiedziała Amber.

Dirhea się zawahała.

– Nie używamy tu języka elfów – powiedziała sucho.

– Nie znamy się, a już mnie nie lubisz?

– To bez znaczenia. Po prostu uważam, że królowa Bzera ma na głowie ważniejsze rzeczy niż twoja wizyta.

– Pragnę przypomnieć, że się tu nie wprosiłam.

Dirhea stanęła w progu i spojrzała na towarzyszkę z wyrazem pogardy.

– Rozczarowujesz mnie – wycedziła, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła.

Po chwili Amber usłyszała kroki ciężkich butów i zgadła, że ów „strażnik dla bezpieczeństwa” właśnie zajął stanowisko pod jej drzwiami. Rozejrzała się po komnacie. Nie była duża, a w świetle pochodni na suficie tańczyły roziskrzone czerwone kryształki lepidolitu. Ich smukłe kształty tworzyły niezwykłą mozaikę.

Usiadła na drewnianej pryczy i otuliła się kocem. Pomyślała, że miała dużo szczęścia, skoro istnieje szansa, że wkrótce opuści to miejsce przymusowego postoju. Ulżyło jej, że Orfenowi zostanie darowane życie, choć tak niewiele brakowało, by został zabity.

Po około godzinie jakiś krasnolud przyniósł jej talerz z zupą grochową i kawałkiem chleba. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie jadła cały dzień. Czuła się również zmęczona. Posiliła się kolacją, mając nadzieję, że więźniów w lochu także czymś tu karmiono, i położyła się pod kocem. Było jej chłodno, a zmęczenie dawało się we znaki. Pomyślała, że Bzera zrobiła na niej o wiele lepsze wrażenie, niżby się spodziewała. Postanowiła jeszcze wypytac ją o znajomość z Ithielem, ojciec bowiem nigdy nie wspominał o podróżach w Góry Wąsate. Może to się wiązało z jakąś kolejną tajemnicą w jej rodzinie? Nie rozumiała za to zupełnie postawy Dirhei. Obie były elfkami i mogłyby chociaż porozmawiać. I o co chodziło z tym rozczarowaniem? Przecież się nie znały.

Chciała jeszcze o tym wszystkim rozmyślać, ale nawet nie poczuła, jak odplynęła w sen. Cały czas słyszała przytłumione uderzanie młotów gdzieś głęboko pod podłogą komnaty. A może tylko jej się to śniło?



– W prawo – poleciła Dirhea równie suchym tonem co dnia poprzedniego.

Szły wąskim korytarzem oświetlonym kilkoma pochodniami. O tym, że nastał dzień, Amber dowiedziała się po krzątaniu dookoła.

Zatrzymały się przy schodach. Leżało tu mnóstwo czerwonych szat. Dirhea wzięła jedną i podała Amber.

– Załóż – rozkazała. – Czerwień to kolor krasnoludzkiej żałoby. Obwiąż się w pasie, będzie mniej przypominała worek. Na długość nic nie poradzimy.

Amber narzuciła na siebie luźną sukmanę z pewnością przeznaczoną dla kogoś z krągłymi kształtami. Ubranie sięgało jej do kolan.

– Tu cię zostawię. To jest Andytruh. Będzie ci towarzyszył podczas ceremonii.

Amber rozpoznała w krasnoludzie jednego z młodych strażników królewskich.

– Chyba raczej będzie mnie pilnował – bąknęła pod nosem.

Dirhea już miała odejść, lecz się zawahała.

– Królowa miała kolejny atak w nocy – powiedziała po elficku. – Nie zamęczaj jej dziś rozmowami.

Amber uniosła brwi ze zdziwienia. Przecież Dirhea poprzedniego dnia nie chciała używać ich rodzimej mowy. A poza tym cóż to była za prośba?

– Bzera uważa, że jesteś wybrana przez bogów. Łaknie rozmowy z tobą – wyjaśniła Dirhea.

– A ty co uważasz?

– Ja uważam, że rozmowa z tobą ją zmęczy tak jak wczoraj.

Amber zirytowała te słowa, więc się odgryzła:

– Powiedz mi: czy w kraju, skąd pochodzisz, nie dziwią się, że tak bardzo dbasz o życie krasnoluda?

Dirhea zmrużyła oczy, lecz odparła spokojnie:

– Zbyt mało wiesz, żeby mnie oceniać.

– Nie zamierzam cię oceniać, ale ty to robisz wobec mnie. Mój ojciec był zawsze przyjacielem krasnoludów i jestem daleka od tej naszej słynnej wrodzonej nienawiści do nich. Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego wykazujesz wrogość wobec drugiego elfa.

Dirhea wydeła usta, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale zamiast tego odwróciła się gwałtownie i odeszła wzburzona. Ponieważ całą tę rozmowę odbyły po elficku, Andytruh spoglądał na nią podejrzliwie.

– Czy coś się stało? – spytał. – Nie widziałem jej tak zdenerwowanej od czasu przybycia elfów niewolników.

– Elfów niewolników? To one tu przybyły same? – Amber zamrugnęła z niedowierzania.

– Wybacz, elfko, nie wolno mi o tym mówić. Lepiej już chodźmy, ceremonia zaczyna się za pół godziny, a mamy wiele schodów do pokonania.

Strażnik nie kłamał. Szli pod górę bardzo długo, a monotonne stopnie sprawiły, że Amber poczuła się znużona. Była pewna, że istnieje inne, łatwiejsze wejście do sali ceremonialnej, ale przeznaczone wyłącznie dla krasnoludów.

Wreszcie dotarli do ogromnego pomieszczenia. Amber zgadła, że była to jaskinia poszerzona w niektórych miejscach kilofami i dłutami mieszkańców. Ściany iskrzyły się drobinkami miki ukrytymi w skałach. Co ciekawe, wyszli na platformę zbudowaną na sporej wysokości. Był stąd doskonały widok na to, co się działo w dole. Dookoła na różnych kondygnacjach stały krasnoludy w czerwonych strojach i także spoglądały w dół. Pośrodku ułożono stos, a na nim w czerwonej szacie leżał zmarły Borben. Obok stało siedem krasnoludów, gdyż cyfra ta była dla nich łącznikiem z bogami. Podczas ważnych ceremonii często ustawiano siedmiu strażników, pito z siedmiu kielichów i tym podobne. Amber pamiętała ten fakt z nauk ojca.

Obrzuciła wzrokiem tłum. Nieopodal, dwie kondygnacje wyżej, stało kilku dobrze uzbrojonych strażników otaczających pusty na razie tron. Niektórzy poddani przypatrywali się Amber z zaciekawieniem, inni byli wyraźnie oburzeni jej obecnością, ale większość po prostu ją ignorowała. Nagle elfka zauważyła naprzeciwko, na tym samym poziomie stojącego ze strażnikiem Orfena, także ubranego w czerwoną szatę. Jego obecność ją zdziwiła. Zadrzała na myśl, że Bzera przez noc rozmyślała się i zamiast ich uniewinnić, pragnęła dać swojemu ludowi pokaz sprawiedliwości. Ich spojrzenia się spotkały. Nie miał w oczach nadziei. Wyglądał, jakby wierzył, że umrze.

W jaskini rozległ się dźwięk bębnow. Na najwyższą platformę wyszła „uświęcona królowa Bzera” wraz ze swoją świtą, w której oczywiście nie zabrakło Dirhei ubranej w piękną, ręcznie zdobioną o dwa tony ciemniejszymi haftami czerwoną suknię. Swoje kasztanowe kosmyki spięła w kok i tylko kilka loków spadało jej na skronie. Królowa też wyglądała inaczej. Tym razem włożyła luźną ciemnoczerwoną suknię związaną jedwabnym białym paskiem ze złotą klamrą przedstawiającą nietoperza. Włosy, tak jak poprzedniego dnia, spadały swobodnie na jej szerokie ramiona. Twarz zaś miała o wiele bledszą, wskazującą na zmęczenie lub chorobę. Biorąc pod uwagę niepewne czasy, nie wróżyło to niczego dobrego. Jeśli królowa poważnie chorowała, jeśli mogła w każdej chwili umrzeć, wojna o tron była tylko kwestią czasu. Amber przypuszczała, że niejeden krasnolud miałby ochotę zając najwyższe stanowisko.

Władczyni podeszła do rzeźbionej w drewnie barierki i uniosła dłoń. Wielki pierścień ze szmaragdem zabłyszczał na jej palcu w świetle tysiąca pochodni. Tłum umilkł.

– Szlachetne krasnoludy z rodu Południa! – zawołała, a jej słowa odbiły się echem. – Nastął dziś smutny dzień dla nas wszystkich. Nasz przyjaciel i wierny druh, Wieczny Człowiek, Ger Itu'erh,

Helleborus, umarł dwa dni temu. Odszedł do bogini Derturii, którą sam ukochał pod imieniem Artele.

Po sali rozszedł się szept. Widać nawet imiona elfickich bóstw były krasnoludom niemiłe.

– Pozwólmy umarłym wierzyć w to, co chcą – dokończyła Bzera. – Pochowamy go dziś w sposób godny każdego prawego krasnoluda i zanucimy pieśni żałobne, które będziemy nosić na ustach przez siedem dni, jak nakazuje nasze prawo. Był bowiem niemal jednym z nas i takim go zapamiętamy.

Na te słowa obecni na wszystkich platformach jęli rytmicznie uderzać o balustrady, przyznając tym samym rację władczyni. Niezwykle było usłyszeć uderzenia tysięcy pięści, które echo jaskini niosło na boki i w górę.

Tymczasem królowa podniosła ponownie dłoń. Dirhea lekko podtrzymała jej rękę. Bzera wzięła głęboki oddech i gdy tylko krasnoludy ucichły, znów przemówiła:

– Co do zaś domniemyanych morderców naszego przyjaciela Helleborusa...

Dały się słyszeć wrogie pomruki. Niektórzy wskazywali palcami Amber i Orfena, coś sobie opowiadając.

– ...aresztowaliśmy tych dwoje, elfkę Ireth z Leathien i człowieka Orfena z Lafrencji – dokończyła. – Zbadałam wnikliwie ich sprawę i niniejszym ogłaszam, iż są *herneti*.

Na wszystkich platformach krasnoludy się poruszyły, jedne krzyknęły, inne prychnęły pod nosami, ale wszystkie oczy teraz zwrócono albo na Amber, albo na Orfena.

– Co to znaczy *herneti*? – spytała Amber Andytruha.

– „Niewinni” – odparł zapytany.

Poczuła ulgę, jakby cała ta jaskinia nagle spadła jej z serca. Uśmiechnęła się do Orfena. Wydawał się zdezorientowany.

– Krasnoludy! – zawołała królowa. – Zapomnijmy o naszych waśniach w ten smutny dzień. Helleborus zmarł zgodnie z przepowiednią, o której wielu z was nie wiedziało. Nikt nie jest wieczny poza ludem elfów. Płaczcie dziś, razem z wami bowiem płakać będą ta elfka i ten człowiek. Nastął dzień pierwszy żałoby! Rozpoczynajmy ceremonię. Mugredzie!

Stojący wśród siedmiu krasnoludów przy stosie Mugred skłonił się nisko, po czym zaintonował pieśń żałobną. Przypominała bardziej mruczenie, ale Amber starała się wczuć w znikomy rytm i wtórować. Tymczasem Mugred, nie przestając nucić, uniósł obie ręce i przymknął oczy. Siedem krasnoludów zapaliło pochodnie. Elfce przyszło do głowy, że przez gęsty dym zaraz nie będzie nic widać, a nawet może się uduszą, przynajmniej ci czuwający najbliżej. Potem pomyślała, że skoro sala ta służy do ciałopaleń, to zapewne jest do tego jakoś przystosowana. I jak na zawołanie w tej właśnie chwili wszystkie krasnoludy podniosły ręce. Siedem pochodni dotknęło polan, a te natychmiast zajęły się ogniem. Amber podążyła wzrokiem za dymem i oto, gdy doleciał do sufitu, ten rozwarł się i wpuścił do środka naturalne światło. Na samej górze kilkanaście krasnoludów ciągnęło za grube liny, doprowadzając do całkowitego otwarcia pokrywy. Zewsząd zadudniły bębny, rozpoczęto śpiewanie pieśni w języku krasnoludzkim, w dialekcie, którego Amber w ogóle nie rozpoznawała. Wszystkie uniesione ręce zaczęły się kołysać, a tysiące gardeł dołączyło do śpiewu tak gromkiego, że elfka odniosła wrażenie, jakby cała jaskinia drżała od tych głosów.

– Nikt nie zauważy dymu z daleka? – spytała swego krasnoludzkiego towarzysza.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Dym uchodzi do kotliny wiecznie zasnutej mgłą.

– To naprawdę niesamowite – powiedziała trochę do siebie, wpatrując się w siną strużkę dymu znikającą w powietrzu i odcinającą się na tle błękitnego nieba.

Andytruh lekko się uśmiechnął na te słowa. Wśród krasnoludów nastała cisza. Opuściły dłonie i rozpoczęły kolejną pieśń, której słowa Amber spróbowała przetłumaczyć:

*Siny jest wiatr, co niesie brzask,
siny jest ptak, co niesie wieść,
cichy jest szept, głośny jest wrzask,
tysiące lat jak jeden zmierzch.*

*Odszedł nasz brat, przyjaciel, mąż.
Nigdy już nie zoczemy go,
zabrał go chłód, nikczemny wąż,
zabrał go żar po samo dno.*

*Szary jest dym, co goni wiatr,
szare są sny, szary jest świat.
Już nigdy z nas nie zadrwi strach,
ni żaden żal, umarł nasz brat.*

Amber spojrzała na królową. Siedziała zamysłona, oparta plecami o swój tron. Wyglądała, jakby jej myśli wybiegały daleko w przód, poza tę chwilę ciałopalenia. Czyżby sobie wyobrażała własny pogrzeb? A może wspominała pochówek kogoś, kto odszedł wiele lat temu? Bzera nie miała męża, Amber nie pamiętała też, czy kiedykolwiek ów istniał. Czy nie chciała wyjść za mąż, czy może została wdową dawno temu? Krasnoludy żyły dłużej niż ludzie, przeciętnie dwieście lat. Wiele mogło się w tym czasie wydarzyć.

Drobne ciało Borbena szybko zajęło się ogniem. Siedem krasnoludów i Mugred pochyliłi głowy. Naraz coś trachnęło i nad zmarłym rozbłysły tysiące iskierek. Niektórzy otworzyli usta z zachwytu. Bzera wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć zza bariereki. Rozbłyski załańczyły nad ciałem, po czym rozpierzchły się i zniknęły w ciemności. Na twarzach zgromadzonych malował się strach. Tak umierały magiskry. Władczyni zerknęła porozumiewawczo w stronę Amber.

– O wielka Artele – szepnęła elfka. – Pozwól mu wypocząć.

Krasnoludy zaśpiewały jeszcze dwie pieśni, po czym królowa wstała i powiedziała:

– Oto odszedł brat nasz, Helleborus. Niech jego imię będzie głoszone.

– Niech jego imię będzie głoszone – ryknęły w odpowiedzi tysiące gardeł.

Powoli zasunięto część dachu i w jaskini znów zapanował półmrok. Czerwone szaty krasnoludów odcinały się na tle czarnej skały. Monarchini pierwsza odeszła w głąb jakiegoś niewidzialnego korytarza. Za jej przykładem uczestnicy ceremonii zaczęli się rozchodzić.

Andytruh dał Amber znak, że czas iść.

– A on? – spytała, pokazując głową na Orfena.

– Nic nie wiem o nim.

– Trafi z powrotem do więzienia?!

– Nie wiem, pani elfko, naprawdę.

Dwóch strażników pilnujących Orfena zabrało go do jakiegoś tunelu za ich plecami. Amber poczuła zaniepokojenie. Skoro zostali uznani za niewinnych śmierci pustelnika, powinien zostać wypuszczony. Dlaczego więc został dokądś odprowadzony? Dlaczego stali po przeciwnych krańcach sali? Dlaczego nie mogli porozmawiać?

Tymczasem Amber, zamiast pokonać setki schodów, tym razem w dół, została poprowadzona poziom wyżej.

– Dokąd zmierzamy? – spytała.

– Królowa zaprosiła cię na ucztę pogrzebową.

Bardzo się zdumiała tym zaproszeniem. Zastanawiała się, czy powinna doszukiwać się w tym geście podstępu.

Przeszli przez rozległy plac i od razu usłyszeli wiele tubalnych głosów. Andytruh wskazał jej ręką drogę. Poszła za jego gestem. Oboje weszli do wielkiej komnaty, pośrodku której stały dwa długie drewniane stoły. Tylko jeden był jednak zastawiony i tylko przy nim siedzieli biesiadnicy. Królowa zajęła miejsce u szczytu, po jej prawej stronie spoczął Mugred, a po lewej – Dirhea. Dalej siedziała starszyzna, wszyscy w czerwonych sukmanach, oraz kilku wysokich rangą żołnierzy. Czterech z nich miało jedynie czerwone naramienniki i pozostali w swoich mundurach. Wśród nich był Frer. Mniej więcej pośrodku stołu siedziała krasnoludka, w której Amber rozpoznała Jer'zę, strażniczkę napotkaną pierwszego dnia pobytu w królestwie. Nie było jednak przy stole Leffesa. Widać królowa nie rzucała słów na wiatr.

Kiedy elfka weszła z Andytruhem do komnaty, większość biesiadników była tak zajęta rozmową, że nawet jej nie zauważyła. Frer jednak podniósł wzrok. Amber nie miała pewności, czy jest w jego ciemnych oczach więcej chęci mordy, czy raczej chłodnej akceptacji. Monarchini spojrzała spod zapuchniętych powiek na nowych gości i wskazała im miejsca koło Dirhei, która nieznacznie westchnęła. Amber skinęła głową, po czym usiadła. To samo uczynił Andytruh.

– I jak, elfko, podobała ci się nasza ceremonia ciałopalenia? – spytała władczyni. – Uważasz, że Helleborus został godnie pochowany?

– Jak najbardziej, królowo. Lepszej ceremonii by sobie nie wymarzył – odparła Amber, starając się ważyć każde słowo.

– Tak, był skromny i nie lubił rozgłosu... – Bzera się zamyśliła.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedziała Amber.

– Uznałam, że powinnaś być na uczcie.

Elfka pojęła, że władczyni miała na myśli coś więcej. Zapewne jej obecność na uczcie pogrzebowej Helleborusa, o którego morderstwo była przez chwilę oskarżona, miała przypieczętować w umysłach krasnoludów uznanie jej za *herneti*. Poczowała wdzięczność wobec Bzery za ten gest.

– Cóż – odezwał się ni stąd, ni zowąd Mugred oblizujący palce po giczy cielejącej, którą w połowie już pochłoniął i chwilowo odłożył na gliniany talerz stojący przed nim. – W królestwie Ujena organizują tryznę, gdy ktoś znamienity szczeźnie.

– Owszem – odpowiedziała królowa – ale my nie mamy ani czasu, ani pieniędzy na takie zabawy.

– Co to jest tryzna? – zapytała Amber nieśmiało.

– To rodzaj igrzysk na cześć zmarłego – wtrąciła Dirhea.

– Ano – odezwał się starszy krasnolud siedzący koło Mugreda. – Są takie krainy, gdzie się cieszą i tańczą, a są takie, gdzie wszyscy płaczą.

– A jak to jest u was, elfów? – zadał pytanie Mugred.

Dirhei, która właśnie z finezją kroїła pierś kurczaka, omsknęła się nóż i wbił w upróżoną w całości cebulę czekającą na swoją kolej na talerzu. Krasnoludy uwielbiały cebulę i jadały ją pod każdą postacią, a tak podaną upodobały sobie w szczególności. Niemniej Dirhei w tej chwili minął na nią apetyt. Amber nie zrozumiała, skąd ta reakcja, gdy ciemnowłosa elfka się odezwała:

– Mugredzie, może zajmij się swoją giczą i zamknij sobie tym samym usta.

Wspomniany zaniósł się śmiechem.

– Ależ czy ja miałem co złego na myśli? – zachnął się.

– Jeśli umieramy, to w bitwach – powiedziała dobitnie Dirhea. – A jeśli ci się ta kolej rzeczy nie podoba, to daj upust tej zawiści w obliczu swoich bóstw. Może żyłeś wystarczająco dobrze, by cię wysłuchały.

Zapadła cisza. Krasnolud chrząknął i ugryzł kawał mięsiwa. Dirhea zaś odłożyła sztućce i złożyła ręce na podółku. Królowa wzięła duży łyk wina, ale milczała.

Mugred oblizał usta i znów powiedział:

– A tak sobie jeszcze myślę, że może skoro elfy są nieśmiertelne, to muszą się nieźle nadziwić, gdy któryś z nich umiera, prawda?

Dirhea podniosła na niego pełen wściekłości wzrok i wycodziła:

– Prawda. Ale krwawimy jak wszyscy i potem takie same robaki zjadają nasze ciała. Może cię to także zadziwi. To chyba twoja niedaleka przyszłość?

– Dirheo – odezwała się Bzera. – Mugredzie.

Krasnolud przestał się uśmiechać. Oboje mierzyli się wzrokiem. W końcu elfka opuściła głowę i zapytała:

– Królowo, czy mogę się oddalić? Chciałabym już się położyć.

– Tak, odejdz. Gdybym cię potrzebowała, posłę po ciebie.

Dirhea się podniosła, lecz zanim odeszła, przelotnie spojrzała na Amber.

– Częstoś się, Ireth – zachęciła monarchini. – To prawda, nie organizujemy tryzny, ale uczymy pamięć Helleborusa.

Amber rozejrzała się po stole. Stało na nim kilka półmisków z pieczonymi kurami, wieprzowiną i resztką cielęciny, kaszą okraszoną skwarkami, były także talerze z prażonymi cebulami, pieczonymi ziemniakami, grochem z kiszoną kapustą, surowymi burakami z siekaną cebulą oraz gotowanym selerem. W koszach

leżał świeżo wypieczony chleb, a w dzbanach czekało różowe i czerwone wino, zapewne kupowane od ludzi południa. Elfka poczęstowała się dwoma kromkami i nałożyła sobie trochę karpusty z grochem. Sięgnęła po nóż wbity w prosiaka, ale natychmiast uprzedził ją Andytruh. Zaczął nerwowo kroić jej plaster szynki. Po jego ruchach Amber odgadła, że jednak nie do końca jej ufano.

– To była piękna uroczystość, królowo – powiedziała. – To zaszczyt w niej uczestniczyć. Słyszałam jednak o krasnoludach, które nie uznają ciało palenia.

– I usypują kurhany? – zaciekał się Andytruh wyraźnie zadowolony, że nie dopuścił obcej do noża, choć ostrze przecież dalej tam tkwiło, aczkolwiek jakoś bardziej z drugiej strony wieprza.

– Zgadza się.

– Tak robią w Górach Cichych. Stryjeczna siostra mojej matki stamtąd pochodzi – wyjaśnił strażnik.

– Skąd o tym wiesz, Ireth? – spytała monarchini.

– Mój ojciec przyjaźnił się kiedyś z pewnym krasnoludem. Mieszkał wraz z żoną właśnie w Górach Cichych.

– No tak. – Bzera pokiwała głową. – Dundel i Lukrecja. Poczciwe krasnoludy.

– Znałaś ich, pani?

– Znałam, ale mało czasu im poświęcałam. Aż dotarła do nich wojna. – Władczyni spojrzała smutno na Amber. – Do nas też w końcu przyjdzie, prawda?

– Nie wiem, królowo. Nie było was na równinie Kelis.

Paru obecnych podniosło głowy znad talerzy, inni przerwali swoje rozmowy.

– Rozważaliśmy to, elfko – powiedział krasnolud z czerwonymi naramiennikami.

– Bitwa była daleko i nikt nas nie atakował – dodał siedzący obok niego.

– To nie nasza wojna – odezwał się Mugred.

– I nie nam umierać – dodał starszy krasnolud zajmujący miejsce obok niego.

– Nikt nie będzie tu przychodził i nam mówił, co powinniśmy zrobić! – krzyknął pijany Frer.

– Tak jest! – zawtórowało mu kilku.

– Byłaś na równinie Kelis? – zapytał z niekłamany zaciekawieniem Andytruh.

– Byłam i spojrzałam w oczy Iwardowi.

Na te słowa wielu biesiadników zwróciło się w jej stronę.

– Jak tam było? Opowiedz – napłynęły pytania i prośby.

– Nie sądzę, by uczta pogrzebowa była dobrą okazją do takich opowieści. – Zawahała się.

– Ależ tak, Ireth. Nie można sobie wymarzyć lepszej. Pomyśl, jak by się ucieszył Helleborus – zachęciła Bzera.

Amber połknęła kęs chleba, który właśnie przeżuwała, i zaczęła opowiadać. Z początku czuła się dziwnie, ale potem, w miarę jak opowieść się rozkręcała, nabrała swobody. Krasnoludy słuchały jej z uwagą, dolewając jej raz po raz wina. Napitek był mocny i nie oszukiwano, doprawiając go wodą, więc o ile na niej nie robił wrażenia, o tyle na krasnoludy działał różnie. Im więcej mówiła, a one piły, tym częściej i głośniejsz wzdychały, wyraźnie tęskniąc do wojaczki. Kilku uczujących od czasu do czasu wtórowało jej, nawołując do ataku lub do wzmocnienia którejś flanki. Frer przy opowieści o śmierci Melchiora z łoskotem wbił w stół nóż do krojenia pieczonego wieprza, a na wspomnienie śmierci Dwepa, młodszego brata króla Mestaka z Gór Cichych, kilkunastu biesiadników uрониło łzy i wytarło je w brody. Tylko starzec siedzący obok Mugreda

przysnął na samym początku, czy to ze zmęczenia, czy z upojenia trunkiem. Bzera słuchała relacji wsparta łokciami o blat i czasem marszczyła czoło. Kiedy Amber dotarła do momentu, jak na równię przybyły elfy z Kamiennego Miasta, kilka krasnoludów zawołało:

– To bujda! Wcale nie przyszli! Nigdy nie pomagają!

Paru krzykaczy dostało kuksańce w boki i się uciszyło.

– Werelda się jednoczy – powiedziała elfka. – Wiele spraw na pozór niedorzecznych... – Zawahała się, wspominając przepowiednię walki z własną siostrą. – ...staje się rzeczywistością. Nic na to nie poradzimy.

– Ivard nas tu nie dopadnie! – zawołał któryś z dowódców.

– A jeśli wybuchnie wojna? I odetną wam dostawy jedzenia? Czy naprawdę sądzicie, że nie wiedzą o waszym istnieniu?

– Ma rację! Wtedy sami się tu uwięzimy! – zakrzyknęła Jer'za.

– Ale przecież wojna się skończyła! – zauważył Frer. – Ivard wrócił do siebie!

– Byłam w Ivardzie jesienią, gdy mnie pojmano – odpowiedziała Amber. – Stolica opływała w dostatki, a armia przegrupowywała się w Corden.

– Łżesz! – wrzasnął ten sam dowódca co poprzednio, po czym padł głową na stół i usnął, głośno chrapiąc.

– Sugerujesz, że Ivard znów wypełźnie ze swojej nory? – zapytała władczyni.

– Myślę, że jeszcze nie ukręciliśmy mu głowy.

– Żeby się podnieść, musiałby mieć skądś nowe wojska. Wielu Ivardczyków zginęło na Kelis.

– Ale zginęło też wielu ludzi, krasnoludów i elfów – odezwała się Jer'za.

Amber przypomniał się umierający na jej kolanach Ledgen. Ukochany brat i wierny przyjaciel, którego nie zdołała ocalić.

– Ireth! – zawołała królowa.

Krasnoludy wlepiaty w nią wzrok. Zrozumiała, że zatopiła się we wspomnieniu, i zupełnie nie wiedziała, co do niej powiedziano. Miała łzy w oczach.

– Przepraszam, nie usłyszałam – przyznała.

– Pytałem, jakie to uczucie walczyć ramię w ramię z krasnoludami i ludźmi – powtórzył Andytruh.

Paru uczujących prychnęło, jeden głośno beknął, ale wpatrzona w elfkę Bzera poprosiła:

– Odpowiedz. Jesteśmy różni i mienimy się wrogami. Nie mamy takich doświadczeń.

Amber nie rozumiała, czemu ma służyć jej odpowiedź, ale podejrzewała, że królowa chce coś w ten sposób uświadomić krasnoludom. Wszak wszyscy słuchali opowieści elfki, przedstawicielki znienawidzonego rodzaju.

– Jesteśmy tym, czym chcemy być, i inni tym się dla nas stają, czym ich sobie wyobrazimy – zaczęła, a potem słowa popłynęły prosto z jej serca. – Mojego ojca uratował podczas bitwy pod Middel krasnolud, Dundel, który potem rannego zabrał do siebie i leczył. Zaprzyjaźnili się, choć obu stronom wydawało się to na początku niedorzeczne. Spotkałam w Antis waszych braci, między innymi królewskiego brata Husaka. Nie było łatwo, wszyscy jesteśmy dumni na swój sposób i pyszałkowaci. Ale tam, na równinie Kelis, walczyliśmy o jedno: o nasze krainy, dzieci, przyjaciół, o naszą godność i o życie. O przyszłość.

Zapadła cisza. Nikt nie śmiał się odezwać, wszyscy pograżyli się w zadumie. W końcu ciszę przerwała królowa:

– Wypijmy za Helleborusa. – Podniosła puchar.

Wszyscy, którzy jeszcze mogli, unieśli pełne kielichy.

– Do dna! Za Helleborusa! – zawołali.

Niektórzy znów zabrali się do jedzenia, inni wrócili do przerwanych wcześniej rozmów, władczyni pogrzyżyła się w cichej wymianie zdań z Mugredem. Amber dokończyła swoją zimną już kapustę z grochem i rozejrzała się po sali. Wtem ktoś klepnął ją po ramieniu. Obejrzała się i zobaczyła Jer'zę.

– Mogę? – spytała, wskazując na puste po Dirhei krzesło.

Skinęła głową. Od krasnoludki czuć było winem, ale trzymała się jeszcze całkiem prosto.

– Napij się ze mną, elfko. Drugiej takiej okazji może nie być.

Stuknęły się kielichami. Jer'za opróżniła jednym haustem swoje naczynie, po czym wytarła rękawem mokrą brodę i się roześmiała.

– Dużo jest wojowniczek wśród elfów? – spytała.

– Nie bardzo, ale większość uczy się strzelać z łuku.

– Ty podobno miałaś kuszę.

– Miałam.

– Mogłybyśmy się spróbować.

– Chętnie, ale chyba nie wydadzą mi broni.

Jer'za wydeła policzki.

– No tak. – Cmoknęła i zachichotała. – Pijemy razem, a nie możemy razem walczyć.

– Może kiedyś przyjdzie czas, Jer'zo.

– Może... – Zamyśliła się. – Iwardczycy zabili mi ojca i brata. Jeszcze zanim to wszystko się zaczęło. – Machnęła ręką i pociągnęła swoim wielkim nosem.

– Mnie dwóch braci, siostrę i przyjaciela.

– Odwdzięczymy się skurwysynom. Jeśli tylko nadarzy się okazja. Drugi raz nie zamierzam siedzieć bezczynnie.

– Jer'zo, pomścisz swoich, zobaczysz.

– Pomszczę. Napijmy się jeszcze.

Nalała sobie wina, wypła duszkiem i dopiero za drugim razem napełniła kielich też elfce. Wybuchnęła śmiechem.

– Wiesz co? Wkurza mnie, że masz mniejszy nos od mojego. Tylko to.

Amber także się roześmiała. Stuknęły się pucharami i wypłyły do dna.

Nagle wszystkie krasnoludy wstały. Zrobiły to, ponieważ Bzera się podniosła.

– Udaję się na spoczynek. Pijcie i jedzcie.

Ci, którzy obecnie nie chrapali na stole lub pod nim, ukłonili się w pas. Trzech strażników ruszyło za królową.

– Ireth. – Władczyni zatrzymała się na moment. – Odprowadź mnie również.

Elfka skinęła głową i poszła za strażnikami, a wraz z nią – Andytruh, chyba niepokieszony, że musi zostawić tyle smakowitego jadła.

Podążali długimi, krętymi korytarzami, z których jedne były oświetlone mniej, inne bardziej, aż w końcu znaleźli się na niższym poziomie, którego Amber nie kojarzyła, by do tej pory wizytowała.

– To moje komnaty – wyjaśniła Bzera. – Zawołajcie Dirheę. Niech przyniesie krople.

Ostatnie słowa skierowała do jednej z krasnoludek, którą Amber widziała pierwszego dnia w sali tronowej. Najwyraźniej spędziła cały dzień w pomieszczeniach królewskich, gdyż zamiast czerwonej sukmany pogrzebowej miała prostą, jasnozieloną sukienkę. Uwagę przykuwały jej kręcone kruczoczarne włosy splecione w warkocz.

– Już po nią posłałam, uświęcona królowo – odpowiedziała energicznie.

– Dobrze, Strewo. I przygotujcie mi kąpiel, ale później, za godzinę.

Strewa dygnęła i odeszła, głośno stukając butami po kamiennej posadzce. Królowa – a za nią strażnicy i Amber – weszła do obszernej sali, całej wyściełanej atłasem. Gdyby ktoś nagle się w niej obudził, nie przypuszczałby, że znajduje się pod ziemią, otoczony surowymi skałami. Atłasy były barwy zielonej i niebieskiej, ułożone na przemian. Z daleka przypominały morskie fale.

– Cóż, Ireth, widzę, że nie podoba ci się wystrój mojej sypialni – odezwała się Bzera.

– Ależ podoba, tylko że jest mało...

– ...kopalniany? – Królowa się uśmiechnęła. – Raz byłam nad morzem i tak je pokochałam, że chciałam je uchwycić. Zapach morskiej piany, słony posmak na ustach, bryza targająca włosy. Byłaś tam?

– Tak. Mam jednak inne wspomnienia. Tam mnie porwano.

– Rozumiem. A ja mam takie marzenie, żeby gdy już umrę, ktoś tam zawiózł moje prochy i rozsypał. – Bzera odwróciła się do strażników. – Może któryś z was tego dokona? Zostawcie nas same. Nie wypuszczajcie nikogo poza Dirheą.

Stuknęli obcasami i wymaszerowali.

– Usiądź. – Monarchini wskazała miękki puf fioletowej barwy.

Odwiązała biały pasek i usiadła z westchnieniem. Przez chwilę łapała oddech.

– A zatem znałaś Dundla? – spytała zniecierpliwiona.

– Tak – odparła zdumiona pytaniem Amber. – Chodziłam do niego z ojcem. Lukrecja piekła przepyszne babeczki.

– Babeczki? – Uśmiechnęła się. – Słodka Derturio! Kiedy ja ostatnio piekłam babeczki? Ale do rzeczy. Dundel był moim kuzynem, synem siostry mojej matki.

– Nigdy o tym nie wspominał.

– Taką mieliśmy umowę. Był dzielnym głupcem z wielkimi ideami. Chciał walczyć o Wereldę, a kiedy już sądził, że ją uratował, zarznęli go jak prosiaka.

Bzera zakaszłała kilkakrotnie. Złapała się za piersi, próbując chwycić oddech. Po chwili się uspokoiła i spojrzała na elfkę.

– Mam mało czasu. Jestem bardzo chora i myślę, wbrew temu, co mi mówi Dirhea, że moje dni są policzone. Słuchaj mnie uważnie, Ireth z Leathien, Amber. Bogowie cię tu przysłali nie bez przyczyny. Borben wiedział, co robi, i ty też będziesz. Widzisz, nie mam dzieci. Ba, nie mam też męża. Miałam mieć, ale zginął tuż przed naszym ślubem. Wyobrazasz sobie? Czekam w odświętnej sukni, kapłani przygotowani, otrzymaliśmy błogosławieństwo z naszej świątyni bogini Derturii, a jego nie ma. Księżniczka opuszczona. Byłam taka wściekła, że mnie zostawił. Sądziłam, że się rozmyślił. Trzy dni później znaleźli jego ciało.

– Ktoś go zabił?

– Nie. Spadł z grani. Tak po prostu. – Zamilkła na moment, ale zaraz podjęła znów wątek. – Kiedy ojciec umarł, mój starszy brat objął rządy. Ale pojechali na bitwę, on i młodszy. Obaj zginęli, bezdzietnie. Tata nie miał rodzeństwa, więc nagle okazałam się jedynym następcą tronu. Ciągłe tęskniłam za narzeczonym, odrzucałam kolejnych kandydatów, aż tu w końcu zauważyłam, że jestem stara i stoję na krawędzi życia. Nie wiem, gdzie się podział środek. Ciągłe pytam o niego samą siebie.

Do komnaty po cichu weszła Dirhea. Obrzuciła krótkim spojrzeniem Amber, ale nic do niej nie powiedziała.

– Przyniosłam krople – oznajmiła, patrząc na królową.

Przykucnęła przy Bzerze i odmierzyła do naczynia piętnaście kropel błękitnego płynu, po czym dołała wody z dzbana i podała królowej. Ta wypła napój i przymknęła oczy.

– Lubię te chwile tuż po zażyciu leku – powiedziała. – Wtedy czuję się naprawdę zdrowa. Dziękuję, Dirheo. Mimo wielu trosk bogini Derturia zesłała mi ją, elfkę uzdrowicielkę. Dzięki niej mogłam doczekać rozmowy z tobą. Chcę ci, Ireth, złożyć pewną ofertę.

Dirhea posłusznie skierowała się do wyjścia, ale Bzera ją zatrzymała:

– Nie wychodź. Chcę, byś była świadkiem, że mówiąc to, miałam jasny umysł. O ironio, tylko z wami mogę o tym rozmawiać otwarcie.

Ciemnowłosa elfka cofnęła się od drzwi i usiadła z ociąganiem obok Amber.

– Jak mówiłam, umrę bezdzietnie. Po mojej śmierci zaczną się walki o tron. Nikomu on nie przysługuje, a jednak jest paru takich, co wyciągną po niego ręce. Kiedy będą się spierać, przybędzie z wojskiem Ujen i sprawę załatwi. Od dawna ma zakusy na moje królestwo. Nawet swego czasu namawiał mnie na małżeństwo. Ba! Kiedyś przyszło mi do głowy, że to jego ludzie pomogli mojemu narzeczonemu spaść ze skały. Oczywiście to niedorzeczne, bo niby skąd miał wiedzieć, że cała męska linia mojego rodu także umrze? Niemniej Ujen przejmie moje królestwo, czy tego chcę, czy nie. I tu, Amber, zaczyna się twoja rola.

– Pani, nie bardzo rozumiem.

– Dundel miał dzieci.

– Podobno wszystkie zginęły podczas rzezi – odparła Amber, pochylając się do przodu.

Powoli zgadywała, do czego zmierza Bzera.

– Nie wszystkie. Twój ojciec znalazł jego średniego syna. Ponoć schował się w kopalni w wózku na kamienie.

– I co z nim zrobił?

– Nie wiedział, że to potomek królewski. Ponieważ nie mógł wrócić z krasnoludzkim dzieckiem do Leathien, zawiózł go do

króla Mestaka. Tam otoczyli go opieką. Czas, aby dowiedział się o swoim dziedzictwie i upomniał o to, co jego.

– A jaka w tym moja rola?

– Chcę, byś pojechała do królestwa Mestaka i go odnalazła. Przekażesz mu to, co ode mnie usłyszałaś. Dirhea potwierdzi, gdy on tu przybędzie.

Wzrok Amber spotkał się ze spojrzeniem Dirhei. Nie wyglądała na zaskoczoną.

– Jak mam go znaleźć? Ile może mieć lat?

– Ma dokładnie dwadzieścia sześć lat. Przed twoim wyjazdem dam ci coś, co zmusi tutejsze krasnoludy do uznania jego prawa do tronu. Dam ci też kilku swoich żołnierzy jako eskortę, ale w królestwie Mestaka są równie niemile widziani co ty.

– A jeśli nie uda mi się go odnaleźć? Jeśli zginął w zasadzce lub umarł na jakąś chorobę?

– Wtedy i tak wszystko będzie stracone na rzecz Ujena. Zrobisz to?

– Królowo... – Amber uznała, że lepszego momentu nie będzie. – Dlaczego uważasz, że podejmę się takiej misji?

Monarchini zmrużyła oczy.

– Rozumiem, że chcesz coś w zamian.

– Co z Orfenem? Dlaczego wrócił do lochu?

– Ireth, obiecałam, że nie spadnie mu włos z głowy, lecz jest Ivardczykiem. Nie ponosi winy za śmierć pustelnika, ale jest szpiegiem. Wiesz o tym, prawda?

– Był szpiegiem. Poza tym każdy może się zmienić.

– Jesteś zaślepiona. Jak twój ojciec.

– A co ma do tego mój ojciec?

– Kochał ludzi. Za bardzo. Odziedziczyłaś to po nim.

– A co złego jest w ludziach?

– Nic i wszystko, to zależy. Ale najgorsze, gdy sobie wybierzesz niewłaściwego człowieka.

– Zamierzasz więzić Orfena? – Elfka usłyszała dudnienie własnego serca.

– To chyba lepsze niż śmierć.

– Śmierć? Za co? – Amber nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Dwóch moich żołnierzy rozpoznało w nim ivardzkiego szpiega, który się tu kręcił poprzedniej wiosny.

Elfka poczuła, jak uchodzi z niej powietrze.

– Pomyśl, że tym samym go ułaskawiam – zakończyła Bzera. – Przykro mi.

– Skazując nas na rozłąkę? Chcesz ratować królestwo, a nie możesz uwolnić jednego istnienia? Mnie również przykro, Bzero, ale pójdę albo z nim, albo nigdzie.

Królowa westchnęła, przez chwilę milczała, po czym stwierdziła:

– Dosyć już sobie dziś powiedziałyśmy. Rozważ to jeszcze. Zostawcie mnie obie. Czuję się lepiej, Dirheo. Nie będziesz mi dzisiaj już potrzebna. Niedługo wezmę kąpiel i udam się na spoczynek.

Machnęła ręką na znak, by już wyszły. Obie elfki opuściły komnatę. Stały naprzeciwko strażników czekających na rozkazy.

– Andytruhu, sama zaprowadzę naszego gościa do komnaty – rzekła po krasnoludzkowi Dirheo. – Chodź – zwróciła się do Amber.



Zeszły wieloma krętymi schodami. Sporo korytarzy na dole było słabo oświetlonych, ale Dirheo przemierzała je nadzwyczaj sprawnie. Nikt jej po drodze nie pytał, dokąd idzie ani po co. Miała całkowitą swobodę poruszania się. Amber stąpała za nią ciekawa, dokąd jest prowadzona.

– Dirheo – odezwała się w końcu – jak źle jest z królową?

Zapytana przystanąła i odwróciła się do towarzyszki. Przygryzła wargę, jakby się zastanawiała, co dokładnie powiedzieć. Wreszcie odparła:

– Bardzo źle. Ma guza w brzuchu. Wyczuwam go pod palcami.

– Nie znasz na to lekarstwa?

– Uśmierzam jej ból, ale niedawno dołączył kaszel. Obawiam się, że podobny guz wyrósł jej w płucach.

– Jak długo może tak żyć?

– Jeśli pytasz, ile masz czasu, to sądzę, że dwa tygodnie, może miesiąc, sądząc po tempie rozwoju choroby.

– Dwa tygodnie?!

– Cii...

– Czy ona o tym wie?

– Nie rozmawiamy o tym, ale na pewno się domyśla.

Amber już się nie odezwała. Z jednej strony co ją obchodziło jakieś królestwo krasnoludów? Zirytowała ją surowa postawa Bzery. Żąda od elfki dyskrecji i powierza jej w jakimś sensie ocalenie królestwa, a nie chce uwolnić Orfena? Z drugiej – skoro ojca obchodziło jakieś dziecko krasnoluda, to może i ją powinien przejąć los królestwa Bzery? Skoro monarchini miała lada dzień umrzeć, na tronie powinien zasiąść prawowity następca, a nie uzurpator. Tylko co z Orfenem? Czy na zawsze już miał pozostać w lochach? Może gdyby sprowadziła nowego władcę, ten uwolniłby Orfena w akcie wdzięczności? Tak bardzo za nim tęskniła...

Podeszły do ołowianych krat. Dirhea powiedziała coś w krasnoludzkim języku do dwóch strażników. Kraty się otworzyły. Były w lochu! Dirhea zapytała o coś strażnika z wyjątkowo długą brodą i po chwili dołączył do nich z wielkim kluczem w dłoni. Wkrótce stanęli przed jakąś celą. Otoczył ich zapach zgnilizny i wilgoci.

Żołnierz włożył klucz do zardzewiałego zamka i się odsunął. Krąta zaskrzypiała.

– Macie tylko chwilę – powiedziała Dirhea.

Amber nie wierzyła. Dlaczego elfka zabrała ją do Ivardczyka? Czyżby jednak nie była nią aż tak mocno rozczarowana?

– Dziękuję – odparła i wślizgnęła się do środka.

Orfen siedział pod ścianą przykuty do niej za nogę.

– Ambi? – zdziwił się, podniósłszy głowę.

– To ja!

Podbiegła do niego i go przytuliła. Spojrzeli sobie w oczy i się pocałowali.

– Co tu robisz? – zapytał energicznie mężczyzna.

– Posłuchaj, mamy mało czasu. Rozpoznano cię jako szpiega z Ivardu. Królowa tylko przez wzgląd na mnie nie wspomniała o tym na ceremonii pogrzebowej. Skazano by cię na śmierć, ale daruje ci życie.

– To wspaniale. Skąd więc ten smutek?

– Bo daruje ci życie, ale nie uwolni cię.

Orfen westchnął.

– Mnie wysłała z misją do króla Mestaka.

Oparł się plecami o mur, nie puszczać ręki elfki. Gładził ją przez chwilę, po czym powiedział:

– Przecież wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo. Zostanę tu, ale ocalę życie.

Amber napłynęły do oczu łzy.

– Nie, Orfenie, wróć po ciebie. Nie pozwolę na to, żeby teraz, gdy znów się odnaleźliśmy, los nas rozłączył. Nawet jeśli to część boskiego planu.

– A co możesz na to poradzić? Wrócisz tu z armią elfów? Rozkruszysz te skały?

– Nie. Postawiłam warunek.

Złapał ją za drugą rękę. Oparli się o siebie czołami.

– Zapomnij o mnie – powiedział. – Rozpoznali we mnie szpiega, bo nim byłem. Nie zmienisz tego.

– Jak możesz tak mówić?

– Ambi, masz ważniejsze rzeczy na głowie.

– Wróć po ciebie, słyszysz? – Elfce zadrżał głos.

– Słyszę, kochanie.

– Ireth! – zawołała Dirhea. – Już czas!

– Muszę iść, ale wróć. Pojadę do krasnoludów i wróć. Przyrzekam.

– Kocham cię. – Orfen złożył gorący pocałunek na jej wargach. – Nie płacz.

– Wróć.

Pocałowała go jeszcze raz i wyszła. Żelazna krata zatrzasnęła się za nią. Dirhea przypatrywała się towarzyszcze przez moment.

– Możemy już iść?

Amber otarła rękawem łzy i kiwnęła głową.

Szły w górę w milczeniu. Amber nie mogła uwierzyć, że jednak przyjdzie jej się rozłączyć z Orfenem. Że ich splecione na krótko nici życia mają się rozplątać. Że chociaż Borben widział ich razem i w tym upatrywał siłę, to muszą się rozdzielić. Pograżona w myślach nawet nie zauważyła, jak znalazła się w pobliżu swojej komnaty. Pomieszczenie nie wydawało jej się tak urokliwe jak wtedy, gdy poprzednio w nim przebywała.

– Posiedzieć z tobą? – spytała zupełnie niespodziewanie Dirhea.

Z jednej strony chciała zostać sama, z drugiej – towarzystwo kogoś z jej rasy wydawało się miłą perspektywą. Zdziwiła ją jednak ta propozycja, bo przecież do tej pory Dirhea traktowała ją z dystansem, a nawet czasem wrogością.

– Nie musisz wracać do królowej?

Elfka wzruszyła ramionami.

– Dopóki nie będzie miała ataku, nikt nie będzie mnie szukał.

Amber skinieniem ręki zaprosiła ją do środka. Dirhea ostrożnie przestąpiła próg i rozejrzała się po wnętrzu.

– Musi ci brakować sukien i światła – powiedziała, siadając przy stoliku.

– Światła tak, sukien nie. Zazwyczaj podróżuję konno i wybieram Ivardczyków.

Dirhea uśmiechnęła się i uściśliła:

– Poza jednym.

– No tak, poza jednym. Dlaczego mnie do niego dziś zabrałaś?

– Jeszcze pamiętam, co to znaczy kogoś kochać. Choć powoli zapominam.

– Co się stało?

– To było prawie dwa lata temu. W Korien odbywały się uroczystości na cześć bogini Artele. Byłam taka szczęśliwa. Właśnie zaręczyłam się z moim ukochanym Kethiwem.

Amber drgnęła. Coś jej przypomniało to imię. Miała jednak nadzieję, że to tylko przypadkowa zbieżność.

– Tańczyliśmy i bawiliśmy się – kontynuowała Dirhea. – Całował mnie do nieprzytomności. Chłonełam każdą chwilę z nim spędzoną. Nie pochodził z Korien. Przybył dwa lata wcześniej z Kamiennego Miasta. Rozkochał mnie w sobie. Nie widziałam świata poza nim. Szybko stał się także żołnierzem królowej Dewy. Spędzał na naradach dużo czasu. Tak przynajmniej mi mówił. Ale okazało się, że w rzeczywistości spotyka się potajemnie z jakąś szemraną grupą. Raz za nimi poszłam. Mówili coś o jakiejś broni, o Middel. Nie przyznałam się do tego, że go śledziłam, ale stałam się bardziej podejrzliwa. Oczywiście cieszyłam się, że nie popadł

w romans. Byłam jednak bardziej naiwna, niż sądziłam. Tamtej świątecznej nocy przybył posłaniec z Kamiennego Miasta z wiadomością od niejakiego Vivelina, bratanka królewskiego, że musi wracać, gdyż żona porodziła córkę. To był cios. Nawet nie próbował się tłumaczyć. Po prostu wstał i dosiadł konia. Tyle go widziałam.

– Vivelin szmuglował broń dla Ivardu – powiedziała chłodno Amber.

A Kethiw z nim – przypomniała sobie.

Dirhea zmarszczyła brwi, ale chyba nie chciała pytać.

– To i tak nie ma już znaczenia – powiedziała cicho.

– Wiesz, co się z nim stało? – zapytała Amber z resztką nadziei w głosie.

– Tak. Mimowolnie czekałam na jakąś wieść o nim. Ale było cicho. Potem jeden z tamtej grupy niespodziewanie wrócił. Zresztą nie sam.

– Z Kethiwem?

– Nie, z elfką, z którą się zaręczył, i z mężczyzną. Ale to nieważne. Z nikim nie rozmawiał, od razu poszedł do królowej Dewy. Nikomu nie opowiadał o tym, co się działo, gdy wyjechali. Ożenił się i pochłonęło go nowe życie.

Dobrze wiedzieć, że Lertyh dotarł z Coryą do Korien.

– Ale ty drążyłaś temat?

– Owszem. Błagałam go, aby mi powiedział, co się stało z Kethiwem. Odparł więc, że nie żyje, zginął od miecza.

Na wszystkich bogów naraz! Mojego miecza!

Amber pobladła, ale nie było tego widać w słabym świetle. Zastanawiała się, czy powiedzieć, czym konkretnie trudnił się ów wspaniały elf i w jakich okolicznościach zginął. Zobaczyła jednak na twarzy Dirhei przemożny smutek, więc tylko szepnęła:

– Przykro mi.

– Wyrządził mi krzywdę, okłamał mnie, ale nadal go Kocham, choć już dawno go nie ma.

– A jak trafiłaś do królestwa Bzery? – Amber chciała jak najszybciej zmienić temat.

– Hm, nie mogłam zostać w Korien. Po pierwsze wiele elfów wytykało mnie palcami, a po drugie chodziły słuchy, że Kethiw i paru innych zdradzili dla Ivardu. Szykowano się do bitwy. Nie mogłam już tego znieść. Postanowiłam się gdzieś ukryć. Pomyślałam o najczarniejszym i najmroczniejszym miejscu w Wereldzie i przyszły mi do głowy jaskinie. A potem, tuż przed bitwą na Debé-kéli, grupa elfów z Korien przechwyciła w górach wiadomość, że królowa Bzera zapadła na jakąś chorobę. Pomyślałam, że to dla mnie znak. Zamiast odbierać sobie życie, bo i to rozważałam, lub spędzić je w świątyni, postanowiłam pójść do krasnoludów i zaofiarować królowej swoją wiedzę.

– Byłaś w Korien uzdrowicielką?

– Tak, ale dopiero tutaj poczułam się potrzebna.

Zrobiła pauzę, po czym lekko się uśmiechnęła i powiedziała:

– Oczywiście na początku nie było tak, jak to sobie wyobraziłam. Krasnoludy chciały mnie zabić, nie pozwoliły mi się zbliżyć do władczyni. Wreszcie Bzera mnie wysłuchała i zaryzykowała.

– Tak długo już choruje?

– Niestety. Ale elfia medycyna trzyma ją przy życiu. Gdyby nie ona, królowa już dawno by umarła.

– Pomagasz krasnoludom. Musisz być wyklęta dla elfów z Korien.

– No właśnie. – Westchnęła. – Ci niewolnicy... przyszli tu za mną. Sądzili, że zostałam porwana. Chcieli powybijać krasnoludy. Doszło do rozlewu krwi. Tych czterech wzięto jako jeńców.

– Rozmawiasz z nimi czasem?

- Nie. Nie chcę. Nie jestem jedną z nich. Nie chcieli mnie.
- Rozumiem. A jednak ze mną rozmawiasz.
- Tak... Ale już skończę, bo zrobiło się bardzo późno. – Jej głos nabrał chrapliwego tonu.
- Skąd wiesz? Tu jest prawie ciągle ciemno.
- Kwestia przyzwyczajenia. Dobrej nocy, Ireth.
- Dobrej nocy, Dirheo.

Elfka wyszła z komnaty zwiewnym krokiem. Zrobiło się cicho. Tylko gdzieś w dole dudniły młoty. Amber niemal słyszała własne serce. Dirhea trafiła do krasnoludów przez przedziwny zbieg okoliczności. Kethiw był niegodziwy i ją oszukał, zdradził rasę elfów, sprzedając się Iwardowi. Ale może wcale nie miał żony w Kamienym Mieście? Może powiedziano tak, by łatwiej się wymknął z Korien? Czy gdyby Dirhea wiedziała, że rozmawia z zabójczynią ukochanego, byłaby dla niej taka wyrozumiała? Czy zabrałaby ją do Orfena? Amber miała mętlik w głowie.

Położyła się, ale długo nie mogła usnąć. Przerzucała się z boku na bok. Natłok spraw wybijał ją z rytmu. Rozmyślała o Dirhei, o tym, jak uratować Orfena, jak bardzo chciałaby się do niego przytulić i jak bardzo chce już opuścić te mroczne jaskinie.



Amber wbiła wzrok w dopalającą się świecę. Prywatna komnata Bzery wydawała się ciemniejsza. Panowała tam zupełna cisza. Oczy królowej i Dirhei skierowane były na Amber.

- A więc podjęłaś decyzję? – spytała monarchini.
- Owszem.
- Mówże zatem.

– Możesz mnie zamknąć w lochu, skazać na pracę z elfami niewolnikami albo nawet kazać zabić. Nie pójdę do Mestaka, jeśli nie uwolnisz Orfena.

– Stawiasz warunki? – Władczyni zmarszczyła brwi. – Cóż, a twoja misja? Czyż nie powinnaś ratować Wereldy? Wszak posiadasz miecz *mesthi*. Czyż to nie zobowiązuje?

– Zobowiązuje, ale nie do ratowania twojego królestwa.

Bzera wzięła głęboki oddech, aż zaświszczało jej w płucach. Kaszlnęła.

– Dobrze zatem – zaczęła po chwili. – Uwolnię tego Orfena, ale na moich zasadach. Kiedy do królestwa przybędzie Hitlin, syn Dundla.

– A jaką mam gwarancję, że tak się stanie?

– A jaką mam gwarancję, że dotrzesz do Mestaka?

Królowa zbliżyła się do Amber. W milczeniu mierzyły się wzrokiem.

– Przysięgam ci na miecz *mesthi*.

– Dobrze. Gdybym wcześniej umarła, za wykonanie mojej woli będzie odpowiedzialny Frer. Nie sprzyja może elfom, ale mój rozkaz wykona bez wątpienia.

Amber spojrzała na elfkę, jakby szukając u niej potwierdzenia tych słów. Dirhea jednak siedziała nieruchomo.

– Dirheo – odezwała się Bzera – przynieś, proszę, klucz. Wiesz który.

Elfka się zawahała, ale powoli wstała i wyszła. Krasnoludka była blada, w ciągu tych paru dni przybyło jej zmarszczek. Ciężko odychała wsparta na kilku poduszkach.

– Dlaczego on? – zapytała nagle.

– Orfen?

Królowa kiwnęła głową.

– Nie wiem. Jest wyjątkowy. Nie muszę przy nim udawać kogoś, kim nie jestem.

– Nie było kogoś takiego wśród elfów?

– Nie, nie znalazłam nikogo takiego. – Amber lekko się uśmiechnęła.

– Kochasz ludzi, nie nienawidzisz krasnoludów, bronisz słabszych. Wiesz, jak bardzo jesteś podobna do ojca? On też ją kochał. I tak jak ty teraz twierdził, że nie musi przy niej udawać kogoś, kim nie jest.

Królowa się zamyśliła. Amber poczuła się zupełnie zbita z tropu.

– Kogo kochał?

– Jak to: kogo? Lawannę.

– Lawannę? – Elfka szukała w myślach, kto to był.

– Widziałam ich tylko raz. Spotkali się potajemnie u Dundla. Zawsze spotykali się potajemnie. Pamiętam ich oboje. Miała piękne kruczoczarne włosy, ciepły głos i takie delikatne, drobne dłonie. Patrzył w nią jak w obrazek. On, wytworny elf, i ona, śliczna królowa.

Amber usłyszała dudnienie własnego serca. Nie miała pojęcia, o czym Bzera mówi. Wydawało jej się, że monarchini gorączkuje, ale nagle przypomniał jej się mały portret opisanej kobiety, który ojciec długo nosił w sekretniku na piersi. Raz otworzyła go i zapamiętała rysy. Nie była to elfka. Nigdy nie spytała Ithiela kto to, tym bardziej że po jakimś czasie sekretnik zniknął z jego szyi.

– Bzero, o jakiej królowej mówisz? Z kim mój ojciec spotkał się u Dundla?

– Imię Lawanna nic ci nie mówi?

– To przecież królowa Ivardu... – wyszeptła i poczuła, jak blednie. – Jak to? Mój ojciec z nią spiskował?!

– Nic podobnego. Lawanna była dobrą i ciepłą osobą. To dzięki niej mógł zapanować pokój. Gdyby nie zmarła przedwcześnie...

– A jak zmarła? – spytała chłodno Amber.

– Przy porodzie. Ponoć w strasznych mękach. Król Inercy po jej śmierci szalał z rozpaczy.

– A co ma wspólnego z Lawanną mój ojciec?

– Myślę, że kochał ją nad życie. Jak ty kochasz Orfena.

– Czy ze wzajemnością?

– Nie wiem. Patrzyła jednak na niego z zachwytem. Nie powiedzieli ani nie zrobili przy mnie niczego niestosownego, więc nie odpowiem ci, czy coś ich naprawdę łączyło. Choć... – Bzera się zawahała, lecz ostatecznie dokończyła: – Choć dało się wyczuć między nimi taką samą więź jak między tobą i tym Ivardczykiem. Nigdy później już czegoś takiego nie czułam, aż do chwili, gdy was spotkałam.

Amber zamrugała szybko. Czy to możliwe, że jej ojciec miał romans z królową Ivardu? Czy Inercy się dowiedział? Czy wiedziała o tym Kenaé? I czy...

– Czy dziecko przeżyło? Dziecko, przy którego porodzie zmarła Lawanna? – zapytała zmienionym głosem.

Zdawało jej się, że już zna odpowiedź na to pytanie.

– Tak, przeżyło. To właśnie królowa Nefri. Po śmierci Inercego zasiadła na tronie i kontynuuje dzieło ojca.

Po plecach elfki spłynął zimny pot. Jak to możliwe, że jej ukochany ojciec zdradzał matkę? Dlaczego wybrał sobie władczynię Ivardu? Skąd się znali? Czy rzeczywiście się kochali? Co to za historia? I czyją córką jest Nefri?!

Nie mogła opanować drżenia rąk. Zaczęła stabilizować przyspieszony oddech. Z każdym wdechem znów widziała coraz ostrzej. Skupiła wzrok na fioletowej poduszce, o którą opierała się Bzera. Zaraz – powiedziała sobie w duchu – *nie panikuj. Nefri nie jest półelfką. Ma NORMALNE uszy, ludzkie.*

Pozbierała myśli i spojrzała na królową.

– Cóż, ivardzki szpieg to nie król – skonstatowała.

– To prawda, ale ta sama skłonność do ludzi. A to chyba zły wybór, elfko. Zwłaszcza dla was. Są śmiertelni, omylni, błędzą i zdradzają.

– Znam też elfy, które zdradzały i knuły, oraz krasnoludy, które nie bały się przelać krwi w obronie słabszych. Świat nie jest czarno-biały, Bzero.

– No tak.

Wtem otworzyły się drzwi i stanęła w nich na powrót Dirhea. Trzymała podłużne pudełko zawinięte w czerwony aksamit. Podeszła do królowej i podała jej zawiniątko. Bzero wzięła je od niej drżącymi palcami i ostrożnie otworzyła. W środku znajdował się duży mosiężny klucz. Z trudem podniosła się i zarządziła:

– Chodźmy.

Pomimo późnej pory na korytarzach panował ruch. Szły w otoczeniu sześciu strażników. Napotykanie po drodze krasnoludy kłaniały się władczyni, ale ona na nich patrzyła. Była pogrążona w myślach. Co jakiś czas ocierała sobie atlasową chustką kropelki potu występujące na czoło.

Gdy dotarły do ruchomej platformy, głośno sapała. Dwaj uzbrojeni strażnicy przepuścili idących przed nimi kilka krasnoludów z kilofami. Dla królowej i jej świty była gotowa druga platforma. Wszyscy umiejscowili się na niej i wtedy podest ruszył w dół.

– Tam, gdzie jedziemy, jest bardzo gorąco – rzucił do elfki Andytruh.

– Może zjeżdżam tam po raz ostatni – wymamrotała pod nosem Bzero.

Kiedy platforma wyhamowała, przesiedli się na kolejną. Gdy zaś ta się zatrzymała, ich oczom ukazał się widok setek krasnoludów

z kagankami, uderzających kilofami o twarde skały. Amber zastanawiała się, po co zjechali do kopalni, ale nie zapytała, bo panował tam potworny hałas. U zbiegu paru korytarzy, na który patrzyli teraz z góry, stały wózki pełne skał. Inne obok dopiero załadowywano wśród okrzyków. Wielu górników miało długie brody i poranione ręce. Wszyscy jednak dziarsko uwijali się przy swojej pracy. Królowa nie patrzyła na nich zbyt długo. Skręciła w prawo, w bardzo wąski korytarz, który wieńczyły stare, rzeźbione drzwi. Podeszła do nich i uklękła. Zapadła cisza. W wąskim tunelu słychać było jedynie buchający z łuczyw ogień i słowa monarchini wypowiedane szeptem. Modliła się. Inni również przyklękli, więc obie elfki uczyniły to samo. Nagle królowa podniosła się wsparta na ramieniu jednego ze strażników. Miała na policzkach łzy, ale nikt nie poczynił na ten temat żadnej uwagi.

– Tylko elfki – rozkazała strażnikom. – Niech was to nie boli, nowy król może zaprowadzi inne rządy.

Choć strażnicy nie odpowiedzieli, mieli surowe miny. Najwyraźniej wielkim nietaktem było wpuścić do owej komnaty elfy i zatrzymać krasnoludy. Królowa się zachwiała, ale Dirhea w mgnieniu oka znalazła się tuż obok niej.

– Chodźmy już, nie traćmy czasu, którego nie mamy – rzuciła Bzera.

Amber spodziewała się ścian o intensywnej barwie i wyrastających z nich kryształów. Tymczasem komnata była czarna, z takiej samej skały jak większość korytarzy. Na małym piedestale pośrodku znajdował się jednak kolejny klucz. Bzera wzięła go w dłoń i pomaszerowała do przeciwległej ściany. Pomacała dłonią skałę i nagle coś chrupnęło. Amber usłyszała chrzęst przekręcane go w zamku klucza i kolejne drzwi stanęły przed nimi otworem. To wnętrze jednak zapierało dech w piersiach. Cała komnata

była wprost usiana diamentami, w większości przezroczystymi i ogromnymi. Mieniły się w słabym świetle łuczywa tysiącami barw. W tym przepychu trudno było ocenić, gdzie się kończyły ściany, a gdzie zaczynała podłoga. Pośrodku stał niewielki rzeźbiony w malachicie stół, na którym złożono insygnia królewskie – koronę, berło, jabłko i miecz ceremonialny. Wszystkie wykonano ze złota najwyższej próby i ozdobiono kamieniami szlachetnymi – szafirami, rubinami i oczywiście szmaragdami.

Królowa podeszła do stołu i sięgnęła po miecz. Jego pochwa była ze szczerzego złota, w którym wyrzeźbiono dwa nietoperze stykające się uszami. Zamiast oczu zwierzęta miały szmaragdy.

– Tego miecza używamy tylko podczas koronacji. Proszę.

Wręczyła go Amber.

– Nazywa się Fir'duil, czyli...

– ...Jad Nietoperza – dokończyła Amber. – Słyszałam o tym mieczu. Podczas Wojny Stu ówczesny król krasnoludów zabił nim samego Mistrza Magów.

– Zabił nim pierwszego maga, który próbował czarnej magii. Nazywał się Oposen i był bardzo przebiegły. Ale krasnolud także. Dla pewności nasmarował miecz jadem rzadkiego gatunku nietoperza – wyjaśniła Bzera.

– Mag umarł, ale krasnolud również – dokończyła Amber, przypomniawszy sobie tę historię z jakichś opowieści ojca.

– Umarł, bo nie zauważył, że mag drasnął go jego własnym mieczem. Nie obawiaj się jednak. Nie ma na nim już jadu.

– W prawie krasnoludów stoi – wtrąciła Dirhea – że kto włada tym mieczem, ma prawo do tronu.

– Tak po prostu? – zdziwiła się Amber, waząc w dłoniach oręż.

– Nie. Miecz we właściwych rękach zrasza się ponownie jadem nietoperza.

Amber wyjęła miecz ze zdobionej pochwy. Srebrna klinga zaślśniła jasnym światłem. Zbrocze było suche.

– Chcę, byś wzięła go ze sobą. W rękach Hitlina stanie się wspaniałym orężem, a krasnoludy padną przed nim na kolana. Szkoda, że tego nie doczekam. – Bzera westchnęła. – Tym krajem od dawna powinien rządzić ktoś, kto ma więcej sił niż ja. I hartu ducha. Wyruszysz jutro, Ireth. Przydzielę ci siedmiu żołnierzy. Będą to ochotnicy gotowi oddać życie dla sprawy. Jednak pamiętaj: do końca mają nie znać celu swej podróży. Dla bezpieczeństwa Hitlina. Kiedy wyruszyście w drogę powrotną, zaczekaj na Orfena w chatce Helleborusa. Nie wchodź do królestwa. Jeśli mnie już nie będzie, czeka cię tu tylko śmierć. Ciebie zresztą też, Dirheo. Dlatego życzę sobie, byś z nimi pojechała. Przygotuj mi tyle mikstury, ile uznasz, że trzeba na jeszcze jakiś czas, i wyjedź razem z Ireth. Zatrzymacie się z nią w Korien pod pretekstem zostawienia tam moich elfickich niewolników. Nie pragnę mieć elfickiej krwi na rękach, ani ich, ani twojej. Zwłaszcza twojej, Dirheo.

– Pani, nie opuszczę cię teraz. Póki żyjesz, zamierzam...

– Gadanie! Dość już dla mnie zrobiłaś. Moich tak zwanych popleczników zżera zazdrość i chciwość. Nie oszczędzą cię w wędrówce po koronę. Wyjedź jutro z rana. Miewam czarne sny.

Elfka zamierzała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko skinęła głową i zacisnęła wargi. Amber dostrzegła, że w jej oczach szaleją rozpacz i lęk. Nic jednak do siebie nie powiedziały.

Zanim wyszły, owinęły miecz szmatą i wyniosły niczym nic nieznaczący przedmiot. Krasnoludscy strażnicy zdumieli się, że królowa wraca z pustymi rękami, i widocznie wysnuli wniosek, że jedynie prezentowała elfkom bogactwa ich krainy.

W milczeniu dostali się z powrotem na górę. Elfki nie wymieniły między sobą już żadnych zdań, jedynie przed rozdzieleniem

się Dirhea spojrzała przeciągle na Amber, jakby coś rozważała. Ta zaś, zanim ruszyła z Andytruhem do swej komnaty, odprowadziła wzrokiem Bzerę. Monarchini szła bardzo wolno, ledwie utrzymując równowagę.

– Niech cię prowadzi bogini Derturia – pożegnała ją królowa. – Już się nie spotkamy...

Elfka miała mieszane uczucia. Oto mogła opuścić królestwo, ale pozostawała rozdzielona z Orfenem. Bała się o jego los w krainie, której czas był tak niepewny, w której chwiały się trony, a powodzenie jej misji zależało od bardzo wielu czynników. Wystarczyłoby, gdyby Mestak ich nie wpuścił albo żeby się okazało, że Hitlin nie żyje. Co wtedy stanie się z Orfenem? Zastanawiała się też, na ile pragnęła wyruszyć w misję dla królowej, a na ile czuła się przymuszona. Ze zdziwieniem odkryła, że w głębi duszy chciała pomóc zaprowadzić ład w Wereldzie i brać w tym przywracaniu porządku czynny udział. Martwiła się, że przemawia przez nią pycha, ale potem pomyślała, że może to część jej przeznaczenia. Może Borben nie przez przypadek osiedlił się u stóp Gór Wąsatych i akurat teraz go odnalazła? Może jako posiadaczka miecza *mesthi* rzeczywiście miała wobec Wereldy powinność, by jej bronić również w taki niebezpośredni sposób?

Potem jednak przyszło jej do głowy, że ostatnim razem, gdy miała takie poczucie radości z powodu ratowania kogoś – a konkretnie rusałki – źle się to dla niej skończyło i o mały włos przypłaciłaby tamtą misję życiem. Tym razem miała w obstawie siedem krasnoludów i zgodnie z życzeniem Bzery także Dirheę oraz cztery wzięte w niewolę elfy. Nie do końca podobał jej się pomysł wspólnego podróżowania z obcymi elfami, które spędziły długie dni i noce jako niewolnicy krasnoludów, i to jeszcze przez Dirheę, która także miała do nich dołączyć, ale skoro taka była wola

królowej... Cieszyła się, że w tych okolicznościach będą z nimi krasnoludy w przewadze liczebnej, choć nie do końca mieściło jej się to w głowie. Poza tym cieszyła się, że choć na krótko odwiedzi Korien. Miała nadzieję na spotkanie z Coryą, Lertyhem i Engelbertem. Nie wiedzieli pewnie o śmierci Erharda...

Leżała, usiłując sprowadzić na siebie sen. Myślała o Orfenie, o tym, że tkwi teraz w zupełnych ciemnościach w lochu, że może traci nadzieję. Na myśl o tym, że mogłaby go stracić, czuła rozdzierającą rozpacz. Zdziwiła ją, jak bardzo zyskała na znaczeniu jego obecność w jej życiu, jaki był dla niej ważny. Wyobraziła sobie, że tuli się do jego ramienia, i usnęła, osuwając się w nieprzeniknionej ciemność oraz miarowe uderzanie kilofów.



Ktoś głośno zastukał. Amber obróciła się na wznak, odganiając sen. Uporczywe stukanie się powtórzyło. Kiedy dotarło do niej, że nie dzieje się to w jej śnie, szeroko otworzyła zaspane oczy, wstała i podeszła do drzwi. W półmroku zobaczyła Andytruha.

– Pani, wyruszamy za godzinę. Przyjdę po ciebie osobiście. Wszyscy będą na nas czekać przy zachodnim wyjściu. Przyniosłem ci też śniadanie.

Mówiąc ostatnie słowa, podał jej talerz z kawałkiem szynki i kromką.

– Masła nie znalazłem – wyjaśnił rzeczowo, lekko się rumieniąc.

– Dziękuję. Będę gotowa – odparła, łącząc powoli wszystkie informacje od krasnoluda.

Lubiła go, bo był konkretny, ale cechowała go też ciekawość świata. Nie zdumiała się, że pójdzie z nią na wyprawę. W przeciwieństwie

do większości mieszkańców tych jaskiń nie miał do niej wrodzonej awersji i chyba nawet trochę ją podziwiał.

Amber usiadła na krześle i zabrała się do jedzenia śniadania. Na-
lała sobie do kubka wody z wielkiego glinianego dzbana, tęskniąc
za ciepłym mlekiem lub naparem Yud. Kiedy pozbierała myśli
i się posiliła, zaczęła pakować swoje rzeczy. Nie miała ich wiele.
Właściwie tylko powinna bezpiecznie przechować miecz Fir'duil.
Uświadomiła sobie, że sama nie ma żadnej broni, nie oddano jej
także miecza *mesthi*. Nie była pewna co do konia. Przyszło jej na-
wet na myśl, że może będą wędrować pieszo, choć nie było to
roztropne rozwiązanie, gdy chodziło o czas. Gdzieś głęboko czu-
ła, że zostawia Orfena, i bardzo ją to smuciło. Za nic na świecie
nie chciała, by spotkało go coś złego, ale jego przyszłość tak czy
inaczej była niepewna. Amber powinna zawierzyć Bzerze, choć
trudno jej przychodziło wyobrazić sobie Frera spełniającego ostat-
nią wolę królowej polegającą na wypuszczeniu ivardzkiego szpie-
ga. Krasnolud od początku miał ochotę rozwiązać ich problem
poprzez zaszlachtowanie, więc dziwiło ją, że Bzera tak mu ufała.
Nie pozostawało jej jednak nic innego. Musiała wykonać swoje
zadanie jak najlepiej i mieć nadzieję.

Schowwała zawinięty w szmatę miecz pod kurtą. Ubolewała nad
brakiem peleryny, gdyż oręż w połowie wystawał. Liczyła jednak
na to, że krasnoludy nie zapytają, co wynosi z królestwa.

Mniej więcej po upływie godziny wrócił Andytruh. Miał na
sobie płaszcz i wysokie buty. Poszła za nim w górę schodami. Mi-
nęli puste korytarze. Nie była dotąd w tej części jaskiń. Stropy
znajdowały się tu znacznie wyżej niż w innych skrzydłach. Kras-
nolud zauważył zdziwienie towarzyszkę i błyskawicznie udzielił
jej odpowiedzi:

– To najstarsza część królestwa. Krasnoludy wydrążyły te korytarze dwa tysiące lat temu. To tu znaleziono pierwsze złoża szmaragdów, oczywiście już dawno je wyeksploatowaliśmy.

Szli właśnie długim, szerokim korytarzem, gdy elfka poczuła zapach kwiatów. W oddali majaczył jasny punkt pełen światła i szumu wody.

– Tam jest zachodnie wyjście. Na początku jest stromo, ale potem będziemy szli łagodnym zboczem – wyjaśnił Andytruh.

Blask słońca oślepił Amber. Aż musiała osłonić oczy dłonią. Wzięła głęboki oddech, wciągając woń kwiatów, młodej trawy i krystalicznie czystej wody z potoku. W końcu jej wzrok przyzwyczał się do jasności. Wtedy ujrzała przed sobą sześć krasnoludów stojących jeden obok drugiego w towarzystwie niedużych koni. Pośród wojowników dostrzegła Jer'zę. Uśmiechnęła się do niej.

– No wreszcie – rzuciła zniecierpliwiona Dirhea stojąca naprzeciwko krasnoludów wraz z czterema elfami. – Zapoznaj ją z żołnierzami i w drogę.

Andytruh kiwnął głową i zwrócił się do Amber:

– Królowa zapytała nas, kto chce wyruszyć w tajną misję pod dowództwem elfki. Jak się domyślasz, niewielu się zgłosiło. Jer'zę już znasz. A to są...

Wymienił po kolei imiona każdego z uczestników wyprawy. Pierwszy od lewej stał barczysty starszy krasnolud z siwą brodą. Nosił imię Ywter i największy topór. Obok niego sterczał Frembas, krasnolud o krótkiej, rudej brodzie i z blizną na lewym policzku. Amber przypuszczała, że okazję do bitki przedkładał nad szczytne cele tej misji, bo miał zaciętą minę i przewiercał bystrymi oczami po kolei każdego elfa. Następny był krasnolud o jasnej karnacji i równie jasnej, przeredzonej brodzie spiętej mimo

wszystko złotą klamrą. Miał wypukłe czoło, które dodatkowo zdobiła opaska na włosach. Andytruh przedstawił go jako Grenta, co w krasnoludzkim języku znaczy: Kilof. Jer'za spoglądała na niego z uśmiechem, lekko trącając go palcem. Następne dwa krasnoludy uzbrojono w berdysze, z których jeden wydawał się nieco wyszczerbiony. Pierwszy z żołnierzy był niewysokiego wzrostu, nawet jak na krasnoluda, ale miał szerokie plecy i wielkie dłonie. Nie nosił brody, ograniczając się do ciemnego zarostu.

– Fandarze! Co z twoją brodą? – zapytał zaskoczony Andytruh.

– Ech. – Zapytany machnął ręką. – Założyłem się z tym tu oto moim szwagrem Tupasem, że się nie zgłosi do tej wyprawy.

– I przegrał! – zawołał stojący obok krasnolud z ciemną, długą aż do kolan brodą, zanosząc się od śmiechu.

– Niezła kompania – skwitowała Amber.

– Dobrze – odezwała się Dirhea. – Szkoda czasu. Wiecie, że królowa poleciła odeskortować te cztery elfy do Korien. Na tym wasza wędrówka się jednak nie skończy. Dalsze instrukcje otrzymacie bezpośrednio od tej elfki po przekroczeniu granic Korien. Ma ona dokładne wytyczne od uświęconej królowej Bzery.

Krasnoludy spoglądały na Amber z powagą. *Przynajmniej nie cmokają* – pomyślała.

– Elfy te – kontynuowała Dirhea – są pod waszą opieką i włos im z głów spaść nie może. Są też jednak aż do Korien waszymi więźniami, to wasze prawo.

Amber zerknęła ukradkiem na cztery elfy. Były umorusane, miały potargane włosy i matowe oczy. Dostrzegła w nich rezygnację i beznadzieję. Oprócz jednego wysokiego blondyna. Spoglądał śmiało w twarze krasnoludów i budził podejrzenia, że knuje jakiś cichy mord na nich w środku nocy. Spodziewała się, że będą z nim problemy.

– Potraktujcie krasnoludy jako swoją eskortę – odezwała się do elfów Dirhea.

– Pluję na twoją eskortę, kłamliwa... – rzucił ciemnowłosy elf stojący obok blondyna, ale ten go szturchnął.

– Daj spokój, Zeridulu. Przyjdzie i na to czas.

Amber zrozumiała, dlaczego mają związane ręce. Wzrok jasnowłosego elfa spotkał się z jej spojrzeniem. Był zimny i pełen pogardy. Odwróciła głowę, nie mając zamiaru wchodzić z kimkolwiek w niepotrzebne polemiki. Blondyn jednak najwyraźniej widział w niej szansę na odegranie się na Dirhei, którą chyba podejrzewał o przyczynę swojej niewoli.

– To wszystko z mojej strony – dokończyła lekko zdenerwowana Dirhea. – Niech was prowadzą Artele i bogini Derturia.

Odwróciła się od elfów i skierowała ku Amber. Ta zmarszczyła brwi. Przecież elfka z Korien według życzenia królowej miała wrócić do domu. Tymczasem Dirhea podeszła do Amber szybkim krokiem i chwyciła ją za łokieć.

– Słuchaj uważnie – zaczęła. – Ta grupa krasnoludów została wieczorem zaprzysiężona. Jeśli okażą ci nieposłuszeństwo, masz prawo je zabić. Wierzę, że tego nie zrobisz. Co innego z elfami. Nie zdążyłam opowiedzieć ci wszystkiego. Uznali mnie za wyklętą, gdy nie stanęłam w ich obronie i nie walczyłam z krasnoludami. Sądzieli, że mnie więżą, a kiedy okazało się, że jest inaczej, zaczęli krzyżeć coś o zdradzie i podnieśli miecze. Bądź czujna, zwłaszcza wobec Lumieła, tego z jasnymi włosami. Próbował uciec, zabił dwóch strażników. – Na chwilę zamilkła i spojrzała elfce w oczy. – Wierzę w powodzenie tej misji. Naprawdę, Ireth, spieszcie się. Będę się za ciebie modlić.

– Zaraz. A ty? Nie jedziesz?!

Dirhea się uśmiechnęła.

– Ja wybrałam sobie już miejsce w Wereldzie i odnalazłam w nim spokój. Nie zostawię teraz Bzery.

– Nawet jeśli złamiesz jej rozkaz?

– Nie jest moją królową i nie może mi rozkazywać.

Skinęła głową na Andytruha. Krasnolud przyprowadził osiodlaną Jellę i podał Amber wodze. Kiedy je chwyciła, odwinął krótki płaszcz i wyjął spod niego miecz *mesthi*.

– Używaj go mądrze – powiedziała Dirhea, gdy Amber przejęła oręż od krasnoluda.

Jednym zwinnym susem wskoczyła na grzbiet Jelli. Krasnoludy także dosiadły swoich koni, umieściwszy elfy na dwóch gniadych i dwóch srokowych rumakach rasy Areth, zapewne wziętych w niewolę razem z nimi.

– Dirheo – odezwała się Amber – nie będziesz tu bezpieczna.

– Wiem, ale to moje przeznaczenie. Czuję to w głębi duszy.

– Bądź zdrowa. Obyś odnalazła ukojenie w swoim cierpieniu.

– Wzajemnie, Ireth. Przeznaczenie to wielka siła. – Zadumała się. – No, jedźcie już. Wszyscy.

To mówiąc, gwizdnęła i odsunęła się od Jelli. Krasnoludy uformowały szyk, biorąc elfy do środka. Wtem czułe ucho Amber pochwyciło stukot kolejnych końskich kopyt uderzających o skaliste podłoże. Zwróciła głowę w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Po chwili zza skały wyłonił się siwy koń, a na nim – Orfen. Amber osłupiała. Spojrzała na Dirheę pytająco.

– Pojedzie na moim koniu, tak było łatwiej – wyjaśniła elfka.

– Dirheo, nie rozumiem.

– Wierzę, że wykonasz zadanie. Ale we Frera nie wierzę w ogóle. – Zniżyła nieco głos i odezwała się po elficku: – Bzera miała w nocy straszny atak. Kaszle krwią, traci przytomność. Nie wiem, jak długo uda mi się utrzymać ją przy życiu. To jej ostatnie godziny,

Ireth, i ostatnie godziny tego spokojnego królestwa. Potem ziści się królewski koszmar. Ivardzki szpieg nie jest tu bezpieczny. Pilnuj go. Jeśli przeleje krew kogoś ze sprzymierzonych, będziesz miała ją na własnych rękach. Ale chyba będziesz wiedziała, co zrobić...

– Jak ci się za to odwdzięczę? Sprzeniewierzasz się królowej.

– Uwierz mi, w chaosie, który właśnie się rodzi, nikt nie będzie liczył więźniów w lochach. Znajdź następcę tronu, tylko to obchodzi teraz Bzerę. Muszę do niej wracać, bardzo mnie potrzebuje.

Amber wyciągnęła rękę.

– *Le thew* – powiedziała.

Dirhea chwilę przyglądała się wyciągniętej dłoni, jakby się wahała, co zrobić, po czym ją uścisnęła.

– Obyś była tego warta – powiedziała w elfickim języku. – W drogę! – krzyknęła po krasnoludzką.

Obróciła się na pięcie i odeszła zdecydowanym krokiem, mijając po drodze nadjeżdżającego Orfena. Ich spojrzenia na ułamek sekundy się skrzyżowały, ale tylko wprawne oko elfa zdołało odczytać lekkie skinienie głowy.

– Amber – odezwał się Orfen, ustawiając konia obok elfki.

– Jesteś. Jak to się stało?

– Potem ci opowiem – powiedział, ściskając jej dłoń.

Odwzajemniła gest i ruszyli za resztą. Dogonili ich kłusem. Gdy zaczęli schodzić zboczem, elfka odwróciła jeszcze głowę, ale nie ujrzała już ani Dirhei, ani zachodniej bramy do królestwa Bzery.

 **SPIS TREŚCI** 

Rozdział I. Wrogowie i przyjaciele 6